

Anna Violetta Łubina
Wyłącznie z rozsądku

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Schodów było zbyt wiele, a winda jak zwykle zepsuta. Elżbieta powoli wchodziła na szóste piętro. Dwanaście razy po dziewięć stopni i będzie mogła odpocząć. Zamknie za sobą drzwi swojej kawalerki i odetnie się od reszty świata. Nieważne, że to nie mieszkanie, tylko schronienie, ale będzie u siebie. Była tak zmęczona, że wyjęte ze skrzynki koperty trzymała po prostu w ręku. Wiadomo, następny plik rachunków. Od rozwodu z Ryszardem nic się nie zmieniło. Rachunki nadal przychodziły do niej. Miała już tego dość. Za każdym razem i każdemu się tłumaczyć, że za długi byłego męża nie odpowiada. W końcu to on o ten rozwód wystąpił i powinien ponieść konsekwencje. Nie chciała myśleć o tym, co wydarzyło się nie tak dawno. Ryszard do małżeństwa po prostu się nie nadawał. A to, że straciła dziecko, niewiele go obeszło. Przeważyła opinia lekarska, że Elżbieta więcej dzieci chyba mieć nie będzie. Ale kto mógł przewidzieć, że Ryszard, który nigdy nie chciał mieć dzieci, uzna tę diagnozę za powód do rozwodu?

Jeszcze tylko cztery razy po dziewięć stopni i będzie mogła otworzyć drzwi swojej „dziupli”. Kawalerka była rzeczywiście mikroskopijna, ale Elżbieta godziła się na wszystko, byle tylko Ryszard znikł jej z oczu. Może należało trochę poczekać z tą zamianą, poszukać lepszej okazji. Jednak przebywanie pod jednym dachem z byłym mężem stało się nagle nie do zniesienia. Tyle niespełnionych marzeń i zawiedzionych nadziei. Kiedy wychodziła za mąż przed ośmiu laty, oczami naiwnej dwudziestolatki widziała w nim ideał. Tymczasem okazał się człowiekiem słabym i zapatrzonym w siebie. Ciągłe mówił o swoich planach i aspiracjach, o tym, do czego dojdzie, co załatwi; ale niczego nie potrafił konsekwentnie doprowadzić do końca. I zawsze miał za złe, kiedy mu to wytykano. Uważał, że ciągle się go ktoś „czepia”. Zdarzało się jednak, że przedłużał sobie urlop, nie uprzedzając o tym nikogo, bo była piękna pogoda. I nie rozumiał, czemu ktoś ma o to pretensje. Pomimo trzydziestki pozostawał niepoważnym lekkoduchem, jakiego poznała jeszcze w liceum. I chyba nigdy już nie dorośnie. W życiu prywatnym postępował zresztą podobnie. Ileż to razy czekała na niego gotowa do wyjścia, a on wracał do domu spóźniony o godzinę, bo przypadkiem spotkał kogoś znajomego. Nigdy nie pamiętał o imieninach czy rocznicy ślubu, naiwnie się tłumacząc, że okolicznościowy prezent zostawił w pracy.

Pewnego razu spóźnił się na własne przyjęcie imieninowe, bo poszedł z kolegą na piwo i dobrze im się rozmawiało. Tymczasem Elżbieta musiała świecić oczami przed tłumem gości, których sam zaprosił. Wszystkie sprawy załatwiała sama, nie można mu było powierzyć nawet płacenia rachunków, bo zapominał o terminach albo o przeznaczeniu pieniędzy. Do pieniędzy miał zresztą stosunek niefrasobliwy. Kiedy mu ich brakowało - pożyczał; kiedy nie miał z czego oddać - zwyczajnie nie oddawał. Wiecznie musiała zwracać jakieś długi, o których nie pamiętał lub nie chciał pamiętać. Przypuszczalnie nie wszystkie z nich zaciągnął, ale zwracać polecił za każdym razem. Czasem nieźle się musiała nagimnastykować, aby jej starczyło pieniędzy, a on jeszcze krytykował zbytnią niegospodarność i rozrzutność żony. Jakoś to znosiła, coraz częściej patrząc na niego jak na niedorosłego chłopca, ale rozstanie okazało się nieuniknione, gdy potraktował z podobną niefrasobliwością i ją. Nie ma dziecka, nie ma małżeństwa. Nawet się nad tym nie zastanawiał. Przekreślił wszystko, całe ich dotychczasowe wspólne życie. I z podobną beztrąską liczył, że dalej będzie opłacać jego długi. Zupełnie absurdalny brak poczucia rzeczywistości.

Otworzyła drzwi i rzuciła plik kopert na stolik w pokoju. Wystarczyło tylko wyciągnąć rękę. Całe mieszkanko miało dwadzieścia pięć metrów. Usiadła na kanapie i oparła nogi na stoliku. Była śmiertelnie zmęczona. Wycieczka z szóstą klasą do muzeum jawiła się jak koszmar senny. Nabiegała się za nimi, usiłując upilnować, żeby niczego nie dotykali i nie zniszczyli. Niestety, trzydziestu rozbrykanych nastolatków upilnować nie sposób. Pani kustosz zwracała uwagę Elżbiecie, a tymczasem uczniowie robili, co chcieli. Nic dziwnego, wcale nie znała tej klasy, więc nie mieli powodu jej słuchać. Oglądać też niczego nie chcieli, traktując wycieczkę jako okazję uniknięcia lekcji. Nauczycielka plastyki, która wycieczkę zorganizowała, rozchorowała się nagle, a Elżbieta, z wykształcenia chemiczka, nie miała pojęcia, jak uczniów zainteresować wystawą. Biegała więc za nimi po salach jak kwoka, narażając się na krytyczne uwagi personelu. Jedna z pań, szczególnie dotknięta zachowaniem kilku chłopców, którzy próbowali rozmontować współczesną rzeźbę, złożoną z kawałków porzewiałego złomu, obiecała, że zawiadomi dyrekcję szkoły o braku dozoru. Elżbietę niewiele to obeszło, w tej szkole pracować będzie

jeszcze trzy tygodnie, do końca roku. Oszczędności w oświacie objęły jej etat. Na pracę w innej szkole też nie miała co liczyć. Trzeba będzie o czymś zacząć myśleć, jak tylko poczuje się na siłach. Ale gdzie znajdzie pracę po swoim kierunku studiów? Komu potrzebny chemik z wykształceniem pedagogicznym?

Po godzinie szum w głowie nieco ucichł i zmęczenie przestało być tak obezwładniające. Postanowiła zaparzyć kawę i przejrzeć wreszcie korespondencję. Właściwie listy do byłego męża należałoby wyrzucić do kosza, ale nie umiała tak postępować. Sięgając po kolejne listy, z przyjemnością wdychała aromat kawy. Pocztówka z Anglii od koleżanki, która postanowiła popracować „na czarno”. Może to byłby pomysł na przyszłość? Popracować trochę, wrócić z pieniędzmi i założyć jakiś niewielki interes. Może kwaciarnię? Koperta z wyciągiem z konta. Niestety, jego stan niemal równy był zeru. Dobrze, że wypłata za dwa dni. Listy do Ryszarda odeśle, jak zwykle, nie czytając. Prenumerowane czasopisma odsunęła na bok, można je przeczytać później. Z ciekawością sięgnęła po ostatnią kopertę, zaadresowaną nieznanym, zdecydowanym charakterem pisma. Nazwisko i adres nadawcy niczego nie mówiły. Była zupełnie pewna, że nie zna osoby o takim nazwisku. A może po prostu zapomniała? List był skierowany do niej, adres zwrotny, gdzieś z koszalińskiego, raczej wykluczał sprawę mężowskich długów. Chociaż z Ryszardem nigdy nic nie wiadomo. Był tylko jeden sposób, by znaleźć odpowiedź na pytanie. Elżbieta rozerwała kopertę. Na stół wypadł list, jakiś dokument i zdjęcia. Sięgnęła najpierw po list.

Szanowna Pani!

Z pewnością będzie Pani zaskoczona, czytając list od zupełnie nieznanego osoby. Przede wszystkim z żalem muszę Panią zawiadomić o śmierci Pani siostry, Ireny. Zmarła w marcu, w koszalińskim szpitalu, w wyniku urazów na skutek wypadku samochodowego, któremu uległa kilka dni wcześniej. Dopiero w szpitalu powiedziała mi, że ma rodzinę. Niestety, znała tylko dawny Pani adres. Musiałem zlecić agencji detektywistycznej poszukiwania, aby nie popełnić omyłki. Dzisiaj dostałem kompletny raport na Pani temat i natychmiast piszę ten list.

Myślę, że zainteresuje Panią fakt, że zgodnie z wolą Ireny, mam powierzyć Pani właśnie opiekę nad jej córką, czyli Pani siostrzenicą.

W związku z tym mamy do omówienia kilka ważnych spraw, a tego nie da się załatwić listownie. Zapraszam więc do siebie. Warunki do odpoczynku są w naszej okolicy idealne, proszę potraktować to jako zaproszenie do spędzenia tu całych wakacji. Będziemy mieć dwa miesiące na ustalenie szczegółów.

Załączam do listu kilka zdjęć Ireny i jej córki, aby nie sądziła Pani, że jest to niestosowny żart. Przesyłam również akt zgonu. Proszę powiadomić mnie, kiedy Pani przyjedzie do Koszalina, bym mógł oczekiwać na dworcu i zawieźć Panią do mojego domu.

Oczekuję odpowiedzi z niecierpliwością. Z poważaniem Janusz Czertwiak Przyjeziorna 18 woj. koszalińskie

Elżbieta odłożyła list na stolik i drżącą ręką sięgnęła po zdjęcia i urzędowy dokument. Nie mogło być żadnych wątpliwości. Akt zgonu stwierdzał, że Irena Nowińska, urodzona 17 stycznia 1971 roku w Katowicach, zmarła 27 marca 1996 roku w Koszalinie.

Ze zdjęcia patrzyły błękitne oczy Ireny. Na jednym z nich była sama, stała roześmiana w cieniu rozłożystego drzewa, za którym widoczny był zarys jakiegoś budynku. Na drugim trzymała za rękę dwuletnią może dziewczynkę, która w tym momencie poruszyła głową i rysy jej twarzy były zamazane. Na trzecim Irena rozciągnięta na kocu nad brzegiem jakiejś wody, w skąnym kostiumie bikini, prezentowała swoją zgrabną figurę, a ciemne znamię na udzie było wyraźnie widoczne. Nie mogło być żadnej pomyłki, to musiała być Irena. Młodsza siostra, którą rodzice i Elżbieta rozpuszczali niemal od urodzenia. Bo przyjście na świat Ireny było zaskakującą niespodzianką: po dwóch poronieniach, trudnym przebiegu ciąży i cesarskim cięciu, pani Barbara Nowińska była przekonana, że więcej dzieci mieć nie będzie. A ponieważ zawsze chciała mieć kilkoro, poczuła się głęboko rozczarowana. Tym większą radością było pojawienie się Ireny - trzy lata później i, co najdziwniejsze, bez żadnych komplikacji. Złotowłosa i błękitnooki aniołek zaskarbił sobie miłość i sympatię wszystkich ludzi bez wyjątku. Niestety, aniołek wyrósł na anioła o charakterze zgoła nie anielskim. Już w wieku lat czternastu przejawiała niesamowite wręcz skłonności do pakowania innych w kłopoty. Nigdy nikogo nie słuchała. Nigdy o nikogo nie dbała. Nie chciała się uczyć. Obracała się w dziwnym towarzystwie. Ze wszystkich ryzykownych sytuacji wywijała się cudzym kosztem.

Matka tłumaczyła się za nią w szkole, ojciec na policji i w izbie dziecka, gdzie kilka razy wylądowała. Elżbieta musiała wysłuchiwać żalów koleżanek, którym Irena nie oddawała ciuchów lub biżuterii, czy odbijała chłopaków. Musiała też odbierać telefony od chłopców, których anioł porzucał z dnia na dzień, bez słowa wyjaśnienia. Wreszcie Irena uciekła z domu, mając siedemnaście lat, a kiedy ją w końcu odnaleziono, była już pełnoletnia i zdecydowanie odmówiła powrotu. Potem słuch o niej zaginął i nikt niczego o niej nie wiedział przez całe siedem lat. Dopiero ten list.

Elżbieta podeszła do okna i niewidzącym wzrokiem wpatrywała się w zalane słońcem alejki osiedla. Poczucie obowiązku kazało jej jechać i spełnić prośbę nieżyjącej siostry. Ale wszystko w niej buntowało się przeciw temu. Ma zająć się dzieckiem Ireny. Dzieckiem prawie zupełnie obcej kobiety, która dzieci nigdy mieć nie chciała. I to ona, dla której dziecko było nie spełnionym pragnieniem, a z utęsknieniem oczekiwana córeczka urodziła się martwa. Minął rok od tego smutnego wydarzenia, ona zaś nadal nie mogła się pogodzić ze stratą. Czy będzie umiała zaakceptować i pokochać to dziecko? Czy będzie mogła spojrzeć na nie bez uprzedzeń? A jeśli odziedzyczyło ono te cechy Ireny, które kazały jej gnać gdzieś przed siebie, nie oglądając się na nikogo? Jeżeli okaże się taką samą egoistką, zapatrzoną w siebie i nieczułą na ludzkie uczucia? Czy ona, Elżbieta, będzie umiała ją wychować? Tyle pytań i żadnych odpowiedzi. A może zapytać inaczej? Czy będzie umiała żyć z czystym sumieniem, jeżeli nie pojedzie?

Z westchnieniem odwróciła się od okna i podeszła do telefonu. Wykręciła numer informacji kolejowej. Jak zwykle zajęte. Kręciła raz i jeszcze raz, aż wreszcie w słuchawce usłyszała kobiecy głos:

- Informacja kolejowa Katowice. Słucham.
- Proszę mi podać godziny odjazdu pociągów pospiesznych do Koszalina.

ROZDZIAŁ DRUGI

Koła pociągu stukały rytmicznie, uspokajająco. Inni pasażerowie już dawno usnęli, nawet dwójka rozdokazywanych dzieciaków, które najwyraźniej nudziły się nieprawdopodobnie. Zamęczały wszystkich dookoła pytaniami, co chwilę chciały jeść, pić albo wyjść do toalety. Klóciły się bez przerwy. Ale wreszcie zmęczenie wzięło górę. Zasnęli również zmordowani i zawstydzeni zachowaniem własnych pociech rodzice. Tylko Elżbieta zasnąć nie mogła. Dręczył ją wewnętrzny niepokój. Ta podróż w nieznane była sprzeczna z jej charakterem. Lubiła mieć wszystko zaplanowane, ułożone. Tymczasem z jednej niestabilnej sytuacji wkraczała w drugą, jeszcze bardziej zagadkową. Nie miała pracy, nie miała oparcia, perspektyw. I zamiast szukać zajęcia, które zapewniłoby jej utrzymanie i spokojną przyszłość, jechała na drugi koniec Polski, żeby przyjąć na siebie dodatkowe obowiązki. Wróciła myślami do rozmowy z matką. Dość długo nie mogła się na nią zdecydować. Nie wiedziała, jak powiedzieć o utraconej córce. Bo przecież matka cały czas wierzyła, że Irena kiedyś wróci. A ona musiała ją zawiadomić, że nie wróci już nigdy.

- Moja córeczka! - Pani Barbara rozszlochała się histerycznie. - Moja kochana córeczka nie żyje! A taka była śliczna, istny aniołek...

- Ależ, mamó! - Elżbieta próbowała sprowadzić wspomnienia do realnego wymiaru. - Przecież ona cię okłamywała, oszukiwała i wreszcie uciekła z domu. Nie odzywała się do ciebie przez całe lata!

- Ale ja i tak wiedziałam, że gdzieś jest i tęskni za mną. Ona zawsze zostanie moim słodkim maleństwem. Gdybyś miała własne dzieci, to byś to zrozumiała. - Elżbieta drgnęła, jakby ją ktoś uderzył. - Przepraszam, nie chciałam tego powiedzieć.

- Ale powiedziałaś. - Odwróciła się od matki, żeby ukryć łzy. Musiała się uspokoić. Na dłuższą chwilę zapadło milczenie. Wreszcie odetchnęła głęboko i prawie spokojnie dodała: - Zresztą jadę tam po córkę Ireny. Dziecko żyje i jest ważniejsze od swojej nieodpowiedzialnej matki, bez względu na to, czy uważasz ją za swego aniołka, czy nie.

- To wcale nie jest dobry pomysł. Przecież w ogóle nie znasz tego człowieka. A może on cię zwyczajnie oszukuje? Ściągnie cię do siebie, tak jak Irenę, i...

- I co, zamorduje mnie?

- No, chyba nie. Ale skąd wiesz, czy to nie przez niego Irusia nie kontaktowała się z rodziną. To może być jakiś niebezpieczny typ.

- I ten niebezpieczny typ szuka mnie przez detektywistyczne biuro, żeby przekazać mi opiekę nad córką Ireny, zamiast oddać ją do domu dziecka i mieć z głowy, tak?

- A może żadnego dziecka nie ma i nigdy nie było, a on chce cię zwabić podstępem? Powinnaś być bardziej ostrożna w twoim wieku. Na jednego oszusta już trafiłaś.

- Mamo! Ryszard nie był oszustem, tylko nieodpowiedzialnym chłopczykiem. Po prostu nigdy nie dorósł.

- To wszystko jedno. Ja cię ostrzegałam.

- Nigdy mnie nie ostrzegałaś, a Ryszardowi dogadzałaś nieprzyzwoicie, mówiłaś, że go uwielbiasz i że zawsze chciałaś mieć takiego syna.

- Bo nigdy nie przyznałaś, jak jest naprawdę między wami. Gdybym wiedziała...

- Dobrze, niech ci będzie. Ale pojechać muszę, to mój obowiązek.

- Możesz tam zginąć jak Irena. Przepadniesz i nie będziemy wiedzieli, gdzie cię szukać.

- Przecież podał swój adres, telefon i dokładnie opisał, gdzie mieszka. Jak nie odezwę się przez tydzień, możesz dać znać na policję.

- To nic nie pomoże, jeżeli dane są fikcyjne. Ale ty przecież już podjęłaś decyzję i zrobisz, co zechcesz. A swoją drogą, skoro on sprawdzał cię przez biuro detektywistyczne, ty też mogłaś.

- Może jego na to stać, mnie niestety nie.

- Mogliśmy ci pożyczyć.

- Mamo, sami nie macie zbyt wiele. Poza tym, co się pożycza, trzeba oddać. A ja jestem bez pracy.

- Rany boskie, jeszcze to! I jak ty chcesz utrzymać dziecko! Stojące na granicy hysterii reakcje matki nie były dla Elżbiety nowością, ale tym razem poczuła się wyczerpana. Zwłaszcza że sama nie wiedziała, czy podejmuje słuszną decyzję, nie miała pojęcia, co ją czeka gdzieś na Pomorzu. Ważne sprawy, których nie udało się załatwić listownie i na których omówienie ten człowiek przeznaczona dwa miesiące, wcale nie musiały być proste.

Dudnienie pociągu stało się wolniejsze, widać było jakieś światła. Stacja. Co to może być? Szczecinek. Do Białogardu, gdzie czeka ją

przesiadka, jeszcze kawałek drogi. Zresztą konduktor obiecał obudzić ją na czas.

Dobrze, że wtedy przyszedł ojciec. Uspokoił matkę i wyśmiał jej obawy. On też uważał, że sam fakt odszukania Elżbiety świadczy o tym człowieku pozytywnie. Zresztą mają przecież adres i telefon. Zagadką pozostawało tylko, co łączyło tego człowieka z Ireną, dlaczego właśnie on wypełniał jej ostatnią wolę i dysponował aktem zgonu. Ale tego już trzeba dowiedzieć się na miejscu. Elżbieta wyszła od rodziców trochę bardziej spokojna, ale nie całkiem pozbyła się niepewności. Musiała załatwić parę spraw, odebrać przysługującą jej odprawę, odłączyć telefon, zlecić bieżące opłaty. Trzeba było dokupić trochę letniej garderoby, przydatnej na pobyt w leśnej głuszy. Wystawa sklepu z zabawkami przyciągnęła jej uwagę zupełnie przypadkowo. Pluszowy miś w kolorze ciemnego złota miał sympatyczny pyszczek. I był odpowiednim prezentem dla dziecka, o którym nawet nie wiedziała, ile ma lat. Teraz drzemał spokojnie w podręcznej torbie. Gdyby nie przypadek, dojechałaby do własnej siostrzenicy z pustymi rękami.

A jednak się zdrzemnęła. Dobrze, że konduktor obudził ją na czas przed Białogardem. Kiedy wysiadła, było jeszcze prawie ciemno. Ale wschodni pas nieba zaczynał się już różowić. Niedługo świt. Po zatechłym kolejowym przedziale dobrze jest chwilę pooddychać chłodnym, porannym powietrzem. Nawet na miejskim dworcu. Musiała przejść na sąsiedni peron. Szczyt wakacyjny już się rozpoczął i nawet o tej przedrannej godzinie na dworcu było mnóstwo ludzi. Czekali na pociąg do Koszalina czy Świdwina pojedynczo lub całymi rodzinami. Gdzieś pod filarem przysiadła grupka młodzieży i ktoś brzdąkał na gitarze. Zdążyła jeszcze wypić szklanekę herbaty, zanim nadjechał pociąg do Koszalina. Miejsc siedzących nie było, ale to w końcu tylko trzydzieści kilometrów. Trzy kwadransy jazdy, wytrzyma.

W Koszalinie poczuła jednak zmęczenie podróżą. Dworzec nie był zbyt duży jak na wojewódzkie miasto. Z trudem postawiła torby na ławce i rozejrzała się dokoła. Nagle ogarnęła ją panika. Uświadomiła sobie, że nie ma pojęcia, jak wygląda Janusz Czertwiak. W tej przedwyjazdowej krzątaninie, w nerwowym napięciu, które nie opuszczało jej od dawna, nie pomyślała, że musi go jakoś rozpoznać. W tłumie ludzi na dworcu nie będzie to łatwe.

Janusz stał obok kiosku z gazetami i obserwował wysiadający tłum. Siostra Ireny powinna przyjechać tym pociągiem. Chciał przez chwilę się jej przyjrzeć, zanim podejdzie i przywita się z nią. Obawiał się tego spotkania. Powodzenie precyzyjnie ułożonego planu zależy tylko od tej kobiety. Na zdjęciu dostarczonym przez agencję nie była podobna do Ireny. Ale to niezbyt dobra fotografia. Jeżeli okaże się podobna do niej? Jeżeli tak samo jak tamta przywykła wykorzystywać ludzi? Tłum powoli odpływał ku przejściu. Na peronie pozostała młoda kobieta. Wyglądała na samotną i zagubioną. Rozglądała się niepewnie i nerwowo. Ona. To z pewnością ona. Powoli ruszył w jej kierunku, bacznie się przyglądając. Była szczupła i zgrabna. Długie włosy w odcieniu lipowego miodu spięte miała klamrą na karku. Nagle spojrzała w jego stronę. W drobnej twarzy w kształcie serca jarzyły się ogromne oczy koloru morskiej wody. Był w nich smutek i zagubienie, które w niczym nie przypominały beztroski i samozadowolenia Ireny. Przez chwilę trwali tak, patrząc sobie w oczy, połączeni jakąś niewidzialną nicią porozumienia. Właśnie porozumienia. Otrząsnął się z tego wrażenia i szedł ku niej. Ale teraz był już prawie pewien, że wszystko będzie dobrze.

Elżbieta nie mogła oderwać wzroku od zbliżającego się mężczyzny. Wiedziała, że nie powinna się tak wpatrywać w nieznanego, że to nie wypada, że można być źle zrozumianą. Ale coś przyciągało jej spojrzenie, kazało widzieć i zapamiętywać kolejne szczegóły od momentu, gdy ich oczy spotkały się na prawie pustym peronie. Był wysoki i mocno zbudowany. Jego sylwetka na pierwszy rzut oka zdradzała, że przywykł do ciężkiej, fizycznej pracy. Twarz miał chmurną i posępną, głębokie bruzdy wzdłuż nosa i ust. Drobną siateczką zmarszczek wokół oczu i na skroni przebijała spod mocnej opalenizny, która wskazywała, że najczęściej pracował na świeżym powietrzu. Było coś smutnego w tej sylwetce i twarzy, której nigdy chyba nie rozjaśniał uśmiech. Ciemnopiwnie oczy patrzyły mądrze i badawczo spod ciemnych rzęs, a kosmyk zrudziałych od słońca kasztanowych włosów opadał zawadiacko na czoło. Szedł prosto w stronę Elżbiety i w którymś momencie nabrała wewnętrznej pewności, że to jest właśnie człowiek, na którego czeka. Nie zdziwiły jej już wcale słowa wypowiedziane głębokim, niskim głosem:

- Jestem Janusz Czertwiak. Mam nadzieję, że czeka pani na mnie.

- Elżbieta Nowińska. - Wyciągnęła do niego rękę na powitanie. Przytrzymała jej dłoń w swojej, marszcząc z zastanowieniem brwi.

- Nowińska? Myślałem, że nosi pani inne nazwisko.

- Wróciłam do niego po rozwodzie. Kilka miesięcy temu.

- A więc miałem niedokładne informacje. Przepraszam za źle zaadresowany list.

- Nie szkodzi. Wielu znajomych też nie może się przyzwyczaić, więc list trafił we właściwe ręce.

- To wszystkie pani rzeczy? - wskazał na dwie torby podróżne ustawione na ławce.

- Nic więcej mi nie trzeba.

- A więc ruszajmy.

- Chwileczkę. Czy nie powinien mi pan czegoś wyjaśnić?

- Pani Elżbieto! O szóstej powinienem być w pracy. - Spojrzała na zegarek, była za dziesięć szósta. - Właśnie! Mamy przed sobą pół godziny drogi, a nasza rozmowa wymaga czasu i spokoju. Odlóżmy ją do wieczora. Teraz musi pani wypocząć po podróży i poznać swoją siostrzenicę. Zgoda?

- Jeżeli pan tak uważa, zgoda!

Bez wysiłku uniósł obie torby i ruszył do wyjścia. Elżbieta szła za nim, czując, że istotnie jest zmęczona i chce jej się spać. Ostatnia noc w pociągu i poprzednie, spędzane na rozmyślaniach, dały jej się we znaki. Na parkingu stał granatowy volkswagen furgon. Otworzyła oczy ze zdumienia. Największym osiągnięciem motoryzacji, z jakim miała dotąd do czynienia, był dziesięcioletni maluch ojca, który zresztą wymagał ciągłych remontów. To cudo było zupełnie nowe. Janusz otworzył przed nią drzwi, a bagaże wrzucił do tyłu. Elżbieta rozparła się wygodnie w fotelu i zapięła pas. Samochód ruszył miękko, prowadzony widać pewną ręką. Po kilku minutach byli za miastem.

- Co to za miejscowość, Przyjeziorna? - zapytała, żeby nie zasnąć w czasie drogi.

- To taka niewielka wioska między jeziorem Rosnowskim i Niedalińskim. Około trzydziestu domów.

- Urodził się pan tutaj?

- Chyba będzie lepiej, jak zaczniemy sobie mówić po imieniu, dobrze? - Skinęła głową. Rzeczywiście, trudno przez dwa miesiące mieszkać w jego domu i zwracać się przez „pan”. - Nie, pochodzę z

okolic Poznania. Ale tutaj mieszka moja ciotka, u której czasem spędzałem wakacje.

- I znalazłeś się tu na stałe?

- To w sumie prosta historia. Skończyłem Akademię Rolniczą, dokładniej kierunek hodowli. W akademiku mieszkałem z kolegą z roku i z drugim, który studiował ekonomię.

- Dziwny zestaw.

- Czasem się zdarza. Po studiach nie mogliśmy znaleźć pracy. Szukałem jej przez dłuższy czas, a potem wylądowałem u ciotki. Tu pracy też nie było, ale PGR bankrutował i udało się odkupić fermę mleczną. Dogadałem się z chłopakami i tak się zaczęło.

- Sądząc po samochodzie, idzie wam nieźle.

- To prawda. Przez te dziesięć lat wymieniliśmy stado, mamy prawie wyłącznie holenderki. Wydzierżawiliśmy mleczarnię, która dzisiaj też należy do nas. Mamy linię produkcji masła, twarogu i pudełkujemy mleko. Myślimy o produkcji serów podpuszczkowych na recepturze holenderskiej.

- Jesteście więc ludźmi sukcesu?

- Nie możemy narzekać.

Samochód minął tablicę z napisem „Przyjeziorna” i zwolnił nieco. Przejechali między domami, mijając kiosk, sklep, kościół i remizę strażacką. Po chwili skręcili w boczną, wąską drogę. Prowadziła jakby wprost do jeziora, ale musieli się zatrzymać przed zamkniętą bramą. Janusz wyskoczył, otworzył ją, wprowadził samochód, znowu wysiadł i bramę starannie zamknął. Jakies sto metrów dalej stał duży stary dom z pruskiego muru, starannie odnowiony. Tynk na ścianach porażał śnieżną bielą, od której odbijały ciemne belki. Starannie odmalowane okna lśniły czystymi szybami. Dom pokryty był czerwoną dachówką, wyglądała na starą, ale nie widać było żadnych braków czy uszkodzeń. Za domem rozciągał się chyba ogród i sad, ale nic więcej Elżbieta nie zdążyła zauważyć, bo Janusz wziął jej torby i zaprowadził na pierwsze piętro, nakazując ciszę.

Pokój był obszerny, wygodnie urządzone. Szerokie stare łóżko ze świeżą pościelą zapraszało do wypoczynku. Rozłożysta szafa z lustrem stała z jednej strony drzwi, a staroświecka toaletka z drugiej. Pod oknem wygodny stolik i dwa fotele. Oprócz tego półka na książki i mały telewizor. Obok, na pastelowej tapecie, widoczny był zarys drzwi. Na stoliku termos i patera ze szklanym kloszem, pod którym

ułożono kanapki. Janusz postawił torby obok szafy, po czym wyprostował się, odgarniając z czoła niesforny kosmyk włosów.

- W termosie masz herbatę. Za tymi drzwiami jest łazienka. Ja wracam koło trzeciej i do tej pory raczej nikt ci nie będzie przeszkadzał. Odpocznij. Z pewnością jesteś zmęczona.

I zniknął, zamykając za sobą drzwi. Nawet nie zdążyła go o nic zapytać. Zresztą miał rację, była zmęczona i marzyła tylko o tym, by się wyspać porządnie. Napiła się herbaty, ochlapała w łazience i w podkoszulku, bo nie chciało jej się szukać koszuli nocnej, położyła się łóżka. Zasnęła, gdy tylko przyłożyła głowę do poduszki.

Obudziły ją jakieś głosy, których nie umiała zidentyfikować. Spojrzała na zegarek - druga. Pobiegła do łazienki i teraz dopiero przyjrzała się wszystkiemu uważnie. Nie tylko przepastna wanna, ale i kabina prysznicowa. Piękna glazura, puchate ręczniki, lśniąca armatura. To nie to, co jej łazieneczka, w której nawet odwrócić się nie można swobodnie. Prysznic zmył z niej resztę snu i ze zdziwieniem stwierdziła, że zadbano tu o najdrobniejsze szczegóły. Od talku po kosmetyki różnych rodzajów. Gdzie ona się znalazła? I o co w tym wszystkim chodzi? Potrząsnęła bezradnie głową. Na odpowiedź przyjdzie poczekać do wieczora.

Wszystkie rzeczy zmieściły się swobodnie w przepastnej szafie. Właśnie skończyła je układać, gdy usłyszała nadjeżdżający samochód. Z okna widać było, jak Janusz zamyka bramę. Złapała pluszowego misia i zbiegła na dół. Stała w drzwiach, gdy wyskakiwał z samochodu. Ze zdziwieniem i rozczerowaniem stwierdziła, że jest sam. A dziecko?

W tym momencie zza domu wybiegła może pięcioletnia dziewczynka w towarzystwie łaciatego ubłoconego kundla. Umorusana i rozczochrana pędziła w stronę samochodu. Elżbieta zamarła w pół kroku. Dziecko miało płowe włosy, spięte gumką w koński ogon, z którego wymykały się nieposłuszne kosmyki, i nieprawdopodobnie niebieskie oczy. Nie mogło być żadnych wątpliwości. To córka Ireny. Wyglądała dokładnie jak ona. Jak na fotografiach rozwieszonych na ścianach w mieszkaniu rodziców. Ta twarz, znana z każdej ramki, była niemal identyczna. Niemal, bo Irena nigdy nie była rozczochrana i umorusana, podkoszulki nie wychodziły jej z szortów, a szorty nie opadały do kolan. Irena nie miała poobijanych kolan i opadających skarpetek. Irena nigdy nie pędziłaby

na łeb na szyję, i do tego w towarzystwie kundla, który wyglądał, jakby właśnie uciekł z bankrutującego azylu. Irena była zawsze uczesana, czyściutka, odprasowana i poruszała się z wdziękiem i gracją. Elżbieta szeroko otwartymi oczyma patrzyła na to zadziwiające zjawisko. Tymczasem Janusz pochylił się, rozkładając ramiona. Uśmiechnął się radośnie. To było tak nieprawdopodobne, że Elżbieta całkiem zapomniała o Irenie i wpatrywała się w niego jak urzeczona, czując łomoczące w piersi serce. Dziewczynka jak błyskawica wpadła w jego objęcia, zarzuciła mu ręce na szyję i zaczęła trajkotać:

- Tatusiu! Ciocia Zosia powiedziała, że będziesz się gniewał. Ale ty nie będziesz, prawda? Dino wcale nie rozkopał ogrodu. On tylko wykopał dołek. No, taki mały dół. I ja go wcale tam nie wpuściłam. Furtka się sama otwarła, wiesz?!

- Jasne! - Wysoki kobiecy głos zwrócił uwagę Elżbiety. Zza domu ukazała się właśnie starsza, dość korpulentna kobieta. Miała na sobie kwiecistą sukienkę i pasiasty fartuch. W ręku trzymała koszyk z czereśniami. Nie zauważyła Elżbiety, czy też nie zwróciła na nią uwagi, i dalej przemawiała do Janusza i dziecka: - Szczypiorek i pietruszka też same sobie wpadły do tego dołka. A Dino, ratując je, przeorał jeszcze trzy grządki. W końcu tego kreta też prawie wykopał. Tylko zamiast go zagryźć, merdał na niego ogonem. Ten pies, gdyby zobaczył złodzieja, to by go wpuścił do domu, pokazał, gdzie trzymasz pieniądze, i jeszcze pewnie odprowadził, żeby go nie okradli.

- Bo Dino ma dobre serce! - odparła rezolutnie mała.

- A na nic potem komu taki pies. Tylko skaranie boskie z tobą i z nim. Za darmo mu jeść dajemy.

Winowajca wcale się nie przejął oskarżeniami. Najwidoczniej nie wykorzystał jeszcze wszystkich zapasów energii. Nagle dostrzegł Elżbietę, która zbliżała się powoli do rozmawiających, wpadł na nią, podciął jej nogi, a następnie wylizał metodycznie. Na szczęście przebrała się już w dzinsy i podkoszulek, więc w najgorszym wypadku groziło jej pranie. Pomimo brudnych i posklejanych kudłów psisko było sympatyczne, żółte oczy śmiały się wesoło. Elżbieta tarzała się po trawie, opędzając się przed mokrym językiem, zaśmiewając się do łez tak szczerze, jak nie zdarzało jej się od wielu miesięcy. Kobieta i dziewczynka spojrzały na nią ze zdziwieniem.

- To twoja ciocia, Matylde. -W głosie Janusza brzmiało nie ukrywane rozbawienie. - Jeżeli uda ci się skłonić Dina, żeby ją zostawił w spokoju, będziesz się mogła przywitać.

Rzeczywiście, tylko dziecko umiało sobie poradzić z tym kundlem o gołębim sercu. Po chwili pies pobiegł szukać nowych wrażeń, a Elżbieta, jeszcze wpółogłupiała, przytuliła do siebie drobne ciało dziecka, siedząc na trawniku przed domem. Mała wycisnęła na jej twarzy kilka soczystych pocałunków i spojrzała na nią z uwagą.

- Jesteś moją ciocią? To fajnie! Zostaniesz ze mną i będziemy się bawić. Razem z Dinem.

- Rozumiem. - Elżbieta czuła się nieswojo siedząc na ziemi, podczas gdy dwoje dorosłych ludzi przyglądało się jej z uwagą. - Jeżeli poszukasz dobrze, to gdzieś za mną w trawie leży taki żółty zwierzaczek, który chętnie przyłączy się do zabawy.

Matylde na czworakach powędrowała przez trawnik i nagle radosny okrzyk obwieścił wszystkim, że miś został znaleziony.

- Ciociu! On jest super! A jak się nazywa?

- No, ja myślę... - W tym momencie Elżbieta zauważyła strugę żółtego piasku, wyrzucaną w górę łapami Dina. - Tak, on na pewno nazywa się Fred.

- No to będziemy się bawić w czwórkę, ja, ty, Dino i Fred. Tatuś musi pracować, a ciocia Zosia nigdy nie ma czasu.

- Myślę, kochanie, że najwyższy czas pójść zjeść ten obiad, przez który ciocia Zosia nigdy nie ma czasu. - Janusz podszedł do Elżbiety, podał jej rękę i energicznym ruchem postawił ją na nogi. - To jest właśnie moja ciotka Zofia, o której ci wspominałem. Ciociu, to Elżbieta Nowińska, siostra Ireny.

Pani Zofia stała wyprostowana i patrzyła na Elżbietę szarymi oczami, których badawcze spojrzenie wyraźnie pozbawione było życzliwości. Ręka dziewczyny zamarła w niedokończonym geście. Wyraźny brak akceptacji ze strony całkiem obcej osoby zupełnie zdeprymował Elżbietę. Wreszcie pani Zofia wzruszyła ramionami i skierowała się do drzwi, rzucając przez ramię:

- Tak. Wiem. Mówiłeś, że przyjedzie. A wsadźcie to dziecko przedtem do wanny, bo będziecie mieć piasek w zupie.

Obiad upłynął w dziwnej atmosferze. Elżbieta czuła się niczym bakteria pod mikroskopem. Zarówno pani Zofia, jak i Janusz obserwowali każdy jej gest, każdą reakcję, jakby chcieli ją na czymś

przyłapać czy też czegoś się o niej dowiedzieć. Tyle tylko, że u pani Zofii Elżbieta wyczuwała wyraźny podtekst niechęci, u Janusza -

zainteresowania. Niewymuszoną radością tryskała tylko Matyllda, która usiłowała przekazać natychmiast wszystko, co tylko przychodziło jej do głowy. W pewnym momencie Elżbieta nie była już pewna, czy krówki siadają na drutach, a jaskółki dają mleko, czy też akurat odwrotnie. Wreszcie Janusz wstał od stołu.

- Myślę, Matylldo, że najlepiej będzie, jak zabierzesz Elżbietę nad jezioro. Weźcie koc, poleżycie na słońcu i może wykąpiecie się. Jutro pokażesz jej resztę naszego inwentarza, dzisiaj ciocia jest zmęczona. Ja muszę wracać do pracy. Będę koło ósmej.

Elżbieta z przyjemnością spędziła z Matylldą resztę dnia. Razem z Dinem i Fredem wylegiwały się na słońcu. Z przyjemnością chlapały się w wodzie. Z trudem udało się dziecku wytłumaczyć, że Fred raczej nie powinien pływać. Za to udało im się splukać wodą Dina. Protestował wprawdzie dość energicznie, a następnie urządził wszystkim brudny prysznic, strzepując wodę z gęstej sierści, ale kiedy wysechł, prezentował się prawie przyzwoicie. O siódmej wróciły na kolację, potem trzeba było Matylldę ułożyć spać. Kiedy usnęła w połowie bajki o trzech misiach, Janusza jeszcze nie było.

ROZDZIAŁ TRZECI

Elżbieta czekała na Janusza w ogromnym salonie. Był tak duży jak całe jej mieszkanko. Wygodna kanapa i fotele pokryte skórą, półki wypełnione książkami, serwantka ze srebrem i starą porcelaną, sprzęt elektroniczny i ogromny telewizor. Tego się właściwie mogła spodziewać. Ale nic nie przyciągało jej wzroku. Niepokoila się coraz bardziej. Sytuacja była niejasna. Czuła się dziwnie nie na miejscu, bo nie mogła zrozumieć, do czego jest potrzebna mężowi swojej siostry. I czemu niby powinna się opiekować dzieckiem, które uwielbia swojego ojca i ma troskliwą opiekunkę w jego ciotce. Nic tu do siebie nie pasowało. Ani list Janusza i jego zaproszenie, ani wyraźne uwielbienie Matyldy dla ojca, ani niechęć ze strony pani Zofii. Jednego była zupełnie pewna - Matylda jest córką Ireny. I jest tu szczęśliwa. I gdyby Elżbieta myślała logicznie, wróciłaby do domu. Ale nie mogła myśleć logicznie. Bo przecież jej martwo urodzona córeczka mogłaby kiedyś być właśnie taka. Taką ją sobie wymarzyła. Umorusaną i rozczochraną. Bezpośrednią. Uśmiechniętą. Szczęśliwą. I wiedziała, że nie może odejść od tego dziecka. Nieważne, czy jest Matyldzie potrzebna. Od pierwszej chwili wiedziała, że to Matylda potrzebna jest jej.

Kręciła się bez celu po pustym salonie, patrząc niewidzącymi oczami na szczegóły jego wystroju. Pogładziła miękką skórę kanapy, dotknęła rzeźbionej ramy obrazu, wbiła wzrok w kwiatowy wzór porcelany, przesunęła stopą po pastelowej miękkości dywanu. Chciała mieć tę rozmowę za sobą. Chciała już wiedzieć wszystko, a nie plątać się w domysłach. Tymczasem Janusz nie nadchodził. Słyszała, jak wrócił do domu prawie godzinę temu. Poszedł na górę umyć się i przebrać, a potem zszedł do kuchni. Słyszała jego kroki na schodach, dochodził do niej szmer rozmowy z panią Zofią. Oczywiście, musi zjeść kolację, tylko że ją zżera niecierpliwe oczekiwanie. Była już prawie gotowa iść go poszukać i zażądać wyjaśnień, kiedy otworzył drzwi. Miał na sobie dzinsy i granatowy podkoszulek, ciasno opinający muskularną pierś. Po raz kolejny tego dnia coś w niej drgnęło, kiedy na niego patrzyła. Ale szybko odepchnęła od siebie to nagłe wrażenie. Nie przyjechała tu dla tego mężczyzny, tylko dla dziecka. I to było najważniejsze. Nie mogła jednak oderwać od niego wzroku, gdy niespiesznym krokiem przechodził przez pokój i

podszedł do szafki z różanego drzewa w rogu pokoju. Okazała się staroświecką obudową gramofonu, przerobioną na barek.

- Napijesz się czegoś? - rzucił niedbale przez ramię, odsłaniając baterię najróżniejszych butelek alkoholu.

- Białego wina, jeśli można.

Otworzył niższe drzwiczki, za którymi mieściła się chłodziarka.

- Rizling czy wermut?

- Najchętniej corvo - poprosiła, zauważywszy charakterystyczny kształt butelki.

Podał jej oszroniony kieliszek i stał ogrzewając w dłoni lampkę koniaku. Nie po raz pierwszy tego dnia poczuła się nieswojo i postanowiła przerwać milczenie.

- Czy będę mogła jutro zadzwonić do rodziców?

- Oczywiście. Jeden telefon jest w kuchni, a drugi w moim gabinecie na końcu korytarza. Zadzwoń raczej z gabinetu, bo ciocia Zosia ma niezdrowy zwyczaj podsłuchiwać.

W tej samej chwili drzwi salonu huknęły o ścianę. Twarz starszej pani była czerwona.

- Ja nie podsłuchuję, po prostu mam dobry słuch! - rzuciła ze złością. Nagle jej wzrok spoczął na trzymanym przez Elżbietę kieliszku. - A barek radzę ci zamknąć. Dwa koła jak dwa brata, toczą się osobno, ale tak samo. - I zamknęła drzwi równie głośno, jak je wcześniej otwierała.

- Może mi coś wreszcie wytłumaczysz, bo za chwilę zwariuję! - Elżbieta była w widoczny sposób wzburzona. - Zupełnie nie rozumiem, co się tu dzieje!

Janusz utkwiał wzrok w kieliszku, który obracał w rękę, i obserwował, jak koniak rozlewa się po ściankach. Miał ochotę wypić go natychmiast i nalać następny kieliszek do pełna. Wiedział jednak, że to nie rozwiąże niczego. Od miesięcy przygotowywał się do tej rozmowy, a teraz słowa nie chciały mu przejść przez ściśnięte gardło. To nie było takie proste. To dobrze, że Elżbieta jest tak różna od Ireny. Ale właśnie dlatego mogła się nie zgodzić. A przecież wszystko zależało od jej zgody. Była uczuciowa i obowiązkowa. Wiedział o niej więcej, niż przypuszczała. O nieudanym małżeństwie, stracie dziecka, braku pracy, samotności. Raport, który otrzymał przed miesiącem, był wyczerpujący, ale, jak się okazało przy wpadce z nazwiskiem, nie wolny od błędów. Dopiero kiedy spotkał ją rano, kiedy obserwował,

jak tarzała się z psem po trawniku, jak przytulała do siebie Matyldę, zorientował się, że nie wie o niej wszystkiego. Czuł, że pieniądze nie mają dla niej znaczenia. I nie dlatego, że ich nigdy w życiu nie miała, tylko dlatego, że co innego liczyło się w jej życiu. Nie wiedział jeszcze co, ale się tego dowie. I rozmowę musi zacząć od wyjaśnień, nie od propozycji. Tylko że na to zupełnie nie był przygotowany.

- Znałaś swoją siostrę... - zaczął wreszcie, powoli dobierając słowa.

- Znałam dziecko, dziewczynę. Ale nie znałam kobiety, jaką się stała. Ty chyba wiesz o niej więcej.

- Była rajskim ptakiem, rzadkim zjawiskiem, porażała umysł i zmysły. Ale ciągle szukała nowych wrażeń. Pędziła przed siebie na oślep jak ćma.

- Nie oglądając się za siebie. - Skinęła głową Elżbieta. - I nie licząc się z nikim.

- Właśnie tak. Jakiś czas była ze mną, ale szybko się znudziła. Jeździła do miasta, szukała czegoś, potem już tylko kogoś. Wracała.

- W końcu zniknęła na zawsze?

- Potem też wracała. - Elżbieta nie była pewna, czy to odpowiedź na pytanie, czy też Janusz wcale go nie usłyszał. - Tylko rzadziej. Nie wiem dokładnie, skąd wzięła się w nocy na tej drodze i jak wpadła pod samochód. Kierowca zaklinał się, że nagle wyskoczyła zza jakiegoś drzewa. Kiedy wezwano mnie do szpitala, była nieprzytomna. Nie miała żadnych szans. Odzyskała przytomność na krótko. Zdażyła mi jedynie powiedzieć, żebym cię odszukał I żebyś zajęła się małą.

- Ależ ona mnie nie potrzebuje! Ma ojca i dom.

- Tak ci się tylko wydaje. - Twarz Janusza była spięta i ręce mu drżały. Elżbieta nie mogła go zrozumieć.

- Głupstwa opowiadasz. Byłeś mężem Ireny i mieliście dziecko. Mała cię kocha. Więc w czym problem?

- To taki drobiazg! - Uśmiechnął się ironicznie. - Nie byłem jej mężem. Ona nie chciała wyjść za mnie. I nie jestem wpisany do metryki Matyldy. Irena się na to nigdy nie zgodziła.

- Jak to?!

- Zwyczajnie. Podała w urzędzie „ojciec nieznany”.

- Ale jesteś ojcem dziecka. Przecież to można sprawdzić.

- Właśnie. Więc nie będę ryzykował.

- O czym ty mówisz?

- Nie mam żadnej pewności, że jestem jej biologicznym ojcem. Nie będę niczego sprawdzał, bo może się okazać, że istotnie nie mam do niej żadnych praw.

- Ale przecież Irena ci ją powierzyła. Odniosłam wrażenie, że wychowała się tutaj.

- To prawda. Nigdy nie mieszkała w innym miejscu, tylko tu, ze mną.

- To chyba coś znaczy. I chyba o czymś świadczy?

- Tylko o wygodnictwie Ireny. Po jej śmierci nie znaczy nic. Jedyne ty masz prawo do tego dziecka, jako jej najbliższa krewna. I dlatego cię tu ściągnąłem.

- Co masz na myśli?

Elżbieta poczuła się zupełnie skołowana. Cała historia była jeszcze bardziej skomplikowana, niż się na początku wydawało. Nie umiała teraz myśleć logicznie, mogła tylko podążać za jego tokiem rozumowania. Przez moment przemknęło jej przez głowę, że można było wszystko załatwić o wiele prościej. Oddać dziecko odpowiednim władzom, które z pewnością by ją odszukały. Janusz przez chwilę unikał jej wzroku, przeczesując włosy palcami. To było dziwne wrażenie: patrzeć na silnego mężczyznę, który odsłaniał swą słabość tym bezradnym gestem. Miała ochotę wyciągnąć rękę, dotknąć tej mocnej, szorstkiej dłoni i uspokoić rozbiegane nieporadnie palce. Z trudem się powstrzymała. Było jasne, że rozmowa nie jest jeszcze skończona, że usłyszy coś istotnego. Czekala, aż mężczyzna się opanuje, bojąc się tego, a zarazem drżąc z niecierpliwości. Wreszcie opuścił dłoń i spojrzał na nią uważnie. Jego oczy były mroczne, a bruzdy na twarzy ściągnięte w nerwowym grymasie.

- Wyjdź za mnie!

- Oszalałeś?! - Nie, tego się nie spodziewała. Ze wszystkich zaskakujących propozycji, jakie mogły paść, ta była najbardziej absurdalna.

- Nie! To jedyne wyjście. Tylko ty masz formalne prawo do opieki nad córką siostry. Jako twój mąż mogę ją adoptować. Dopiero wtedy będzie prawnie moim dzieckiem.

- To niemożliwe!

- Możliwe. Przedyskutowałem to z prawnikiem. To moja jedyna szansa zatrzymania Matyldy.

- Jak mogłeś przypuszczać, że zgodzę się na coś podobnego!

- Miałem taką nadzieję. Posłuchaj mojej propozycji do końca. Nie masz pracy ani żadnych perspektyw. Zapewnię ci wygodne życie. Jeżeli chcesz dalej pracować, czeka na ciebie etat w zbiorczej szkole. Po dwóch latach możesz się ze mną rozwieść i będę ci płacił alimenty. Tylko dwa lata, rozumiesz? Potem zrobisz, co zechcesz.

- A co z Matyldą?

- Zostanie ze mną, oczywiście. Zaplanowałem wszystko, żeby ją zatrzymać na zawsze.

- Nie rozumiem dlaczego. Przecież nawet nie masz pewności, czy jest twoim dzieckiem.

Zerwał się z kanapy, strącając kieliszek na podłogę. Kawałki rozbitego szkła błysnęły w świetle lampy, a koniak rozlewał się wokół nich żółtawą plamą na jasnych deskach podłogi. Jednym skokiem Janusz znalazł się przy Elżbiecie i zacisnął dłonie na bocznych oparciach fotela. Odpowiedź wysyczał jej prosto w twarz, zaciskając szczęki:

- Ona jest moja, rozumiesz? Jest moja, bo ją wychowałem. Bo zmieniałem jej pieluchy i pilnowałem terminów szczepień. To ja uczyłem ją chodzić i mówić. Ja siedziałem z nią w nocy, kiedy miała gorączkę. To ja godziłem się na wszystkie żądania twojej rąbniętej siostrzyczki, byle jej tylko stąd nie zabierała i nie włóczyła ze sobą. I teraz miałbym ją stracić?

- Rozumiem. - Cofnęła się w głąb fotela, przerażona jego nagłym wybuchem. - Przepraszam... Nie wiedziałam... Nie sądziłam, że tak to czujesz.

Odsunął się o krok, z wyrazem zawstydzenia na twarzy. Stał przed nią, skrępowany własnym wybuchem, pocierając kark dłonią. Dopiero po dłuższej chwili odezwał się prawie spokojnym głosem:

- To ja przepraszam. Nie powinienem aż tak zareagować. Ale czy spróbujesz mimo wszystko rozważyć moją propozycję?

- To takie niedzisiejsze. Małżeństwo z rozsądku?

- Właśnie. Przemyśl to. Zostań z nami przez wakacje. Nie oczekuję odpowiedzi dzisiaj. Dasz mi ją pod koniec sierpnia. Wierzę, że zrobisz to, co najlepsze dla dziecka.

- A brałeś pod uwagę, że mogę ci odmówić?

- Niestety tak, to drugie z możliwych rozwiązań.

- I co wtedy zrobisz?

- Nic. Nic nie mogę zrobić.
- Mam ci uwierzyć na słowo?
- Pojutrze jesteś umówiona z adwokatem, który załatwi sprawę przejęcia przez ciebie opieki nad Matyldą. Sam cię do niego zawiozę. Wszystkie dokumenty są gotowe i czekają tylko na twój podpis.
- Ryzykujesz.
- Wolę, żeby była z tobą niż w domu dziecka. O tym, co będzie dalej, zadecydujesz sama. Nie będę cię naciskał. Dobranoc.

Ostatnie słowa Janusz wymówił już stojąc w drzwiach. Elżbieta nie zdążyła mu odpowiedzieć. Zresztą, co tu było jeszcze do powiedzenia? Sprawa jasna i zrozumiała. Niestety, nie całkiem prosta. Wręcz przeciwnie, nieprawdopodobnie skomplikowana. I wszystko zależało od jej decyzji. Nie była w stanie o tym myśleć. Odniosła do kuchni prawie nietknięty kieliszek z winem, sprzątnęła z podłogi szkło i poszła na górę, gasząc światło. W całym domu było cicho. Zajrzała jeszcze do Matyldy, która spała spokojnie, z Fredem w objęciach. Dino łypnął na nią żółtym okiem z dywanika przy tapczanie dziecka i poruszył końcem ogona. Poszła do siebie i przygotowała się do snu. Obawiała się, że dramatyczna rozmowa będzie do niej wracać bez końca. Ale zasnęła prawie natychmiast.

I tylko w jednym oknie świeciło się nadal światło, rzucając żółty kwadrat na trawnik przed domem. Janusz nie mógł spać. Rozmowa z Elżbietą przypominała mu zbyt wiele zdarzeń. Zdarzeń, o których wołałby zapomnieć.

To było czerwcowe popołudnie. Prawie równo sześć lat temu. Wracał z Koszalina i zatrzymał się, by podwieźć tę dziewczynę. Nie wiedział, czemu to zrobił, nigdy nie brał autostopowiczów. Ale kiedy wsiadła do samochodu, zachwyciła go swoją urodą. Miała długie blond włosy i oczy błękitne jak niezapominajki. Rozmawiali o jakichś mało ważnych sprawach, przekomarzając się wesoło. Dopiero za Manowem zapytał:

- A dokąd się właściwie wybierasz?
- Trochę tu, trochę tam. A czemu chcesz wiedzieć?
- Bo zaraz skręcam z szosy.
- Spędzasz tu wakacje?
- Nie. Mieszkam. Mam dom nad jeziorem.
- Ładnie tam jest?
- Bardzo. To przepiękna okolica.

- To zabierz mnie ze sobą.

Musiał mieć wtedy klapki na oczach, bo nie posiadał się z radości. Stary chłop, dwadzieścia siedem lat, i palnąć takie głupstwo. Jeszcze tej samej nocy przyszła do jego pokoju. Wydawało mu się, że dotknął nieba. Był wobec niej bezkrytyczny. Pędził po pracy do domu jak na skrzydłach. Woził ją do Koszalina i do Kołobrzegu, włóczył się po lokalach, kupował najdroższe ciuchy i biżuterię.

I dumny był z tak cudownej dziewczyny. Nie słuchał uwag ciotki Zofii ani przestróg współników. Przeżywał najszcześniejszy okres w swoim życiu i nie widział, nie chciał widzieć, że Irena robi z nim, co chce. Idylla trwała trzy miesiące. Pod koniec września zniknęła bez słowa. Potem przysłała tylko krótki list, że dziękuje, że było fajnie, ale się skończyło, i żeby jej nie szukał. Miał zamiar biec na policję, ledwo mu Jurek z Markiem wytłumaczyli, że to bez sensu.

Pojawiła się na początku marca. Po prostu zapukała do drzwi. Pogodził się już wtedy ze stratą, ale nie mógł jej wyrzucić. Była w zaawansowanej ciąży.

- To moje dziecko? - zapytał wtedy, tłumiąc gniew.

- To zależy.

- Od czego?

- Jeżeli mnie wyrzucisz, nigdy nie będzie twoje.

Wpuścił ją do domu. Nie mógł postąpić inaczej. Tłumaczył sobie, ciotce i wszystkim dookoła, że robi to tylko dla dziecka. Ale doskonale wiedział, że to nieprawda. Była wychudzona, zabiedzona i zaniedbana. Po biżuterii i ciuchach nie zostało nawet śladu. Ale znów był pod jej urokiem i chciał ją zatrzymać. Myślał, głupiec, że wszystko się ułoży, bo przecież łączy ich nie narodzone dziecko. Zaproponował małżeństwo. Roześmiała się tylko.

- A po co mi to! Nie będą się z tobą wiązać. Nie jesteś jeden na świecie.

- Ale będziemy mieć dziecko!

- To ja je będę mieć. Tylko ja.

- Przecież jest również moje.

- Może tak, może nie. To tylko ja wiem. I na pewno ci tego nie powiem.

Miał nadzieję, że zmieni zdanie. Woził ją do lekarza, kupował leki i witaminy, jeździł w nocy po czekoladę, śledzie czy winogrona. Zadbął o wyprawę dla dziecka, przygotował pokój; a ona ciągle

mówiła „nie”. Przywiózł ją ze szpitala i traktował jak królową, która urodziła następcę tronu. Jeszcze bardziej zależało mu na ślubie, bo właśnie wtedy zakochał się na śmierć i życie, kiedy wziął Matyldę na ręce, a ona uśmiechnęła się do niego. I postanowił zrobić wszystko, żeby je zatrzymać.

- Pokaż mi tę metrykę - poprosił, kiedy wrócili z Urzędu Stanu Cywilnego. Uparła się, że załatwi to sama. Ustąpił dla świętego spokoju. I tu zrobił największy błąd.

- Ależ proszę. Jeżeli to dla ciebie takie ważne.

- Dlaczego Matylda?

- Bo nie znam nikogo, kto by się tak nazywał.

- To śmieszne.

- Może. Moja córka nie będzie donaszać czyichś imion.

- A to co?!

- O co chodzi?

- Czemu ojciec nieznany? Miałaś wpisać mnie.

- Nie jestem głupia. Mógłbyś mi ją wtedy odebrać. A teraz nie możesz. Mówiłam ci, jest tylko moja.

Wpadł w taką furię, że mógłby ją zabić. Powstrzymał się tylko ze względu na dziecko. Pilnował jej jak pies podwórzowy. Przez miesiąc była najlepszą matką. Znow zaczął mieć nadzieję. Potem zaczęła jeździć do miasta. Najpierw po zakupy dla dziecka. Początkowo wracała szybko. Potem nie było jej coraz dłużej. Dzieckiem zajmowali się z Zofią i nie spuszczali go z oka. Pewnego dnia Irena nie wróciła. Musiała to wcześniej zaplanować, bo zabrała swoje rzeczy, sporo pieniędzy i zostawiła tylko kartkę: „Zaopiekuj się Matyldą do mojego powrotu”. Odetchnął z ulgą. Skontaktował się z adwokatem i z przerażeniem dowiedział się, że dalej nic nie można zrobić.

Wtedy właśnie zaczął się koszmar. Wychowywał dziecko i przywiązywał się do niego coraz bardziej. Miał nadzieję, że Irena zostawi ich wreszcie w spokoju. Przecież dziecko nie było jej do niczego potrzebne. Okazało się, że było. I nie zostawiła go w spokoju. Wracała co kilka miesięcy. Za pierwszym razem nie chciał jej wpuścić do domu. Roześmiała się perliście.

- Nie?! Lepiej się zastanów.

- Nie masz tu czego szukać.

- Żartujesz! Pójdę na policję i powiem, że przetrzymujesz moje dziecko.

- Sama ją zostawiłaś!

- Dopóki nie wrócę. A teraz wróciłam, rozumiesz? Albo mnie wpuścisz, albo wrócę z policją i zabiorę ci Matyldę. Nie zobaczysz jej więcej.

Nienawidził jej tak bardzo, jak bardzo, jak coraz bardziej kochał Matyldę. I dlatego musiał ją wpuścić. Mieszkała tydzień, dwa, czasem miesiąc. Żądała kosmetyków, ciuchów, egzotycznych owoców, salami i koniaku. Przed wyjazdem żądała pieniędzy. Dawał. Bo wyjeżdżając nie zabierała Matyldy. Zresztą nigdy się dzieckiem nie interesowała. Od tego był on i Zofia. Kiedy Matylda miała trzy lata, zachorowała na zapalenie płuc. Czuwali z Zofią przy dziecku na zmianę. Dosłownie padał z nóg. Miał przecież jeszcze pracę. Potem Matylda wyzdrowiała, a Irena znowu wróciła. Dziecko mówiło do niej „pani”, a ona ciągle się śmiała. Próbował z nią rozmawiać.

- Daj mi zgodę na adopcję.

- A co ja będę z tego miała?

- Będę ci płacił miesięczną pensję.

- Nie wiem, czy mi się to opłaca.

- Chociaż przez chwilę pomyśl o dziecku.

- Myślę, że jest moje. I w każdej chwili mogę ci je zabrać. Więc nie męcz mnie jakimiś prawnymi problemami. Ciesz się, dopóki je masz.

W marcu była tu po raz ostatni. Zdenerwował się wtedy i nie panował nad sobą. Powiedział, że nie odda Matyldy do domu dziecka, a Irenę zaskarzy do sądu o zwrot kosztów utrzymania dziecka za minione lata i o porzucenie. Miał nadzieję, że Irena podpisze zgodę na adopcję, dokument od lat leżał gotowy w biurku. Ale ona śmiała się jak zwykle i wyszła z domu, obiecując wrócić z policją. Czekał z drżeniem serca przez trzy długie dni. Doczekał się wiadomości ze szpitala. Pojechał natychmiast, gnany niepokojem i poczuciem winy. Okoliczności wypadku były niejasne. Czy Irena mogła celowo wpaść pod samochód? Siedział przy jej łóżku i nie bardzo wiedział, czy martwi się o Matyldę, czy o jej matkę. Zdawał sobie sprawę z tego, że jest to kwestia godzin. Mimo to dalek trwał.

- Janusz? - Odczytał swoje imię z ruchu jej warg i pochylił się, żeby coś usłyszeć. Szept był tak cichy, jak ruch skrzydeł ćmy.

- Tak. Jestem tutaj.

- Odszukaj... moja siostra... Elżbieta... niech się zajmie Matyldą... Katowice... albo gdzieś tam... rozumiesz?

- Rozumiem. Znajdę ją.

- To dobrze... Wybacz... I powiedz im...

- Nic nie mów. To cię męczy. Poczekaj.

- Nie mam czasu. Powiedz... Matyldzie... byłam głupia...

Potem mógł ją już tylko pochować. I odnaleźć Elżbietę. I znowu złożyć swój los i dziecka w ręce kobiety, która nie wiadomo co postanowi. Tylko że teraz nie miał szans zapłacić. Dopiero poznał Elżbietę, ale to jedno o niej już wiedział, jej nie można po prostu kupić. I nie był pewien, czy to lepiej, czy może gorzej niż z Ireną.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Elżbieta obudziła się czując, że razi ją światło. Promień słońca odbijał się od lustra szafy i świecił jej prosto w oczy. Przesunęła trochę głowę, bo nie bardzo mogła zrozumieć, skąd się tu wziął. W pierwszej chwili myślała, że śni - pokój był zupełnie nieznajomy. Musiało minąć trochę czasu, zanim uprzytomniła sobie, gdzie jest i co tu robi. Zadrzała, kiedy dotarły do niej wszystkie wydarzenia poprzedniego dnia, kiedy uświadomiła sobie, że to zdarzyło się naprawdę i że nie był to tylko koszmarny sen. Zegarek wskazywał wpół do siódmej. W domu było zupełnie cicho. Zdecydowała się więc na kąpiel. Leżąc w pachnącej lawendą wodzie nieco uspokoiła skołataną nerwy. Przecież nikt nie wymagał od niej natychmiastowej decyzji. Będzie miała dość czasu, aby to przemyśleć, a na razie spędzi dzień z Matyldą.

Otworzyła drzwi na korytarz. Na dole, w kuchni, ktoś się kręcił. Słysząc było ciche stuknięcia kuchennych szafek, dźwięk szkła, szcęk sztućców. Pewnie pani Zofia krząta się przy śniadaniu. Można tam zejść, pomóc jej trochę i spróbować przełamać lody. Z pokoju Matyldy dochodził jakiś dźwięk, to Dino drapał w zamknięte drzwi. Uchyliła je, wypuszczając psa na korytarz. Przez chwilę patrzyła na śpiące dziecko, mała była tak słodka. Długie rzęsy rzucały cień na policzki. Bezszelestnie zamknęła drzwi i zeszła po schodach. Wypuściła psa na dwór i weszła do kuchni. Pani Zofia stała przy kuchence i pilnowała mleka. Stół był nakryty na trzy osoby, stało na nim pieczywo, biały ser, jakieś słoiczki, chyba z konfiturami i miodem, filiżanki.

- Dzień dobry, pani Zofio! - powiedziała, siląc się na swobodny ton.

- Komu dobry, temu dobry - burknęła kobieta, patrząc na nią ze zdziwieniem. - A co tak wcześnie?

- Wcześnie? - Elżbieta zachnęła się. - Przecież już po siódmej, a dzień taki piękny. Może w czymś pomóc?

- Co było do zrobienia, to i gotowe. Niech siada tam. - Wskazała dziewczynie miejsce przy oknie. - Zaraz podam, co trzeba.

Elżbieta usiadła na wskazanym miejscu. Z okna roztaczał się cudowny widok na jezioro. Kilkaset metrów dalej zaczynał się gęsty las. Nad jeziorem i między drzewami widoczne były jeszcze resztki mgły, które szybko niknęły w coraz silniejszych promieniach słońca.

W pewnej odległości od brzegu kołysała się łódka, a na niej dwóch wędkarzy. Z całego krajobrazu emanował spokój, o jakim nawet nie marzyła. Westchnęła, przypomniała sobie ruchliwe i zatłoczone ulice Katowic i unoszący się nad miastem smog, przez który blask słońca przebijał się z trudem. Z zamyślenia wyrwał ją nagły stuk, to pani Zofia postawiła przed nią oszronioną szklankę z pomarańczowym sokiem. Dziewczyna poczuła, jak bardzo chce jej się pić.

- Cudownie! - uśmiechnęła się do zachmurzonej kobiety. - Właśnie tego było mi trzeba.

Chwyciła szklankę i pociągnęła duży łyk napoju. W tym samym momencie łyzy stanęły jej w oczach. Mocny alkohol palił gardło i język. Wrażenie było tym silniejsze, że wcale się tego nie spodziewała. Zerwała się od stołu i próbowała wypluć resztę płynu do zlewu. Zrobiło jej się niedobrze. Spojrzała na panią Zofię, która uśmiechała się ironicznie, i pobiegła na górę, do łazienki. Ledwie zdążyła dobiec i zamknąć za sobą drzwi. Na schodach minęła Janusza, ale nawet nie mogła się zatrzymać, żeby go przywitać. Popatrzył na nią zdziwiony, niczego nie rozumiejąc. Wszedł do kuchni, gdy na stole parował już dzbanek z kawą.

- A cóż dzisiaj tak późno? Myślałam, że już dawno cię nie ma. Dziwno mi było tylko, bo nic nie jadłeś.

- Marek miał mnie zastąpić. Chcę jeszcze uzgodnić z Elżbietą parę drobiazgów.

- A wczoraj się nie udało? Przecież wam nie przeszkadzała.

- Wszystkiego się nie dało, ciociu. A co się stało Elżbiecie? Biegła na górę, jakby się paliło.

- A no za szybko się wzięła za picie z rana, to się i zakrztusiła.

- Zakrztusiła się? Gorącą kawą? Na żarty ci się zebrało, cioteczko. Pewnie jej powiedziałaś coś przykrego.

- Nic jej nie mówiłam, bo i nic z nią nie mam do gadania. A zakrztusiła się nie kawą, tylko soczkiem.

- Jakim znowu soczkiem?

- Ano tym. Dokładnie według przepisu Irenki. - Janusz wziął do ręki szklankę, spojrzał na nią pod światło, zbliżył ostrożnie do ust i spróbował. Skrzywił się natychmiast.

- Przecież to prawie czysta wódka!

- Jaka tam wódka! Spirytus, sok z pomarańczy i to włoskie wino, jak mu tam, wermó. Po równo wszystkiego, jak trzeba. Panie z miasta tak zaczynają dzień.

- Chyba oszalałaś! Kto to widział pić taki mocny alkohol rano i na pusty żołądek!

- A Irenka! Wsiowe tak nie piją, a miastowe tak!

- Ireny już nie ma. I to, co ona robiła, nigdy nie było powszechnym zwyczajem. A Elżbieta wcale nie pije alkoholu. Najwyżej białe wino.

- Ale! Już ci oczy zamydliła. Ty jak babę zobaczysz, to uwierzysz we wszystko. Tej też się dałeś owinąć dokoła palca?

- Nie bój się! Żadna mnie dokoła palca nie owinie. A Elżbietę przeprosisz i więcej tego nie rób. Pójdę jej powiedzieć, że wystawiłaś ją na próbę. Ze chciałaś sprawdzić, pamiętaj! I ani słowa na temat Ireny. Bo wszystko zepsujesz.

Janusz zerwał się i wbiegł po schodach. Tego też nie przewidział. Zofia zamierzała się wtrącać i nie miała pojęcia, że w ten sposób może pokrzyżować jego plany. Nie omawiał z nią niczego, bo bał się, żeby się przedwcześnie nie wygadała. I teraz miał następny problem.

Delikatnie zapukał do drzwi. Nikt nie odpowiadał. Zapukał jeszcze raz. Cisza. Nacisnął klamkę i uchylił drzwi. Elżbieta siedziała w fotelu przy oknie, z głową odchyłoną na oparcie. Oczy miała zamknięte i była bardzo blada. Dłonie miała kurczowo zaciśnięte. Przyglądał jej się przez chwilę. Znowu wyglądała na bezradną i zagubioną, jak poprzedniego dnia na dworcu. Taka krucha i bezbronna.

- Elżbieto!?! - Powoli otworzyła oczy. - Jak się czujesz, Elu?

- Okropnie. Jest mi niedobrze i kręci mi się w głowie. Czy twoja ciotka jest alkoholiczką?

- Nie! Ona tylko...

- To dlaczego dała mi to świństwo? Byłam pewna, że to sok pomarańczowy.

- Wiesz, ona... ona cię chciała sprawdzić. - Przeklinał się w duchu, że wpadł do pokoju, zanim przemyślał logiczne wytłumaczenie. Teraz musiał improwizować. - Pamiętasz, wczoraj była taka zła, bo złapałem ją na podsłuchiwanie. I mieliśmy kieliszki w rękach. Chciała sprawdzić, czy nie pijesz.

- Skąd jej coś takiego przyszło do głowy? Wystarczyło zapytać. Nie znoszę alkoholu. Mocnego alkoholu i w dużych ilościach. Chyba jestem na to uczulona.

- Mówię ci, że była zła. I chyba dlatego. Chodź na dół. Musisz się napić kawy.

- A dlaczego ona mnie nie lubi?

- Jest przywiązana do Matyldy. - Janusz zdecydował się powiedzieć chociaż część prawdy. - I chyba się o nią boi.

- Ale dlaczego?

- Bo możesz ją stąd zabrać. I chce mieć pewność, że nie zrobisz jej krzywdy.

- Ty też masz takie wątpliwości? - Janusz spojrzał na Elżbietę z uwagą. Jej szczupła twarz była dziwnie ściągnięta, ciągle jeszcze blada. I tylko oczy jarzyły się szmaragdowym blaskiem. Znów dostrzegł w nich cień smutku i niepewności. Cierpienia. Pokręcił głową.

- Nie. Ja nie. - I sam się zdziwił, że powiedział to z pełnym przekonaniem.

Po chwili zeszli razem na dół. Przed drzwiami Elżbieta zawahała się. Ale po chwili uniosła w górę głowę i wyprostowana weszła do kuchni. Zofia właśnie zamykała lodówkę. Szklanka zniknęła ze stołu.

- Ja... - Na twarzy Zofii widać było wahanie, ale i determinację. - Ja przepraszam, pani Elżbieto. To było wredne. Nie powinnam była...

- W porządku. Przecież mnie pani nie zna. I proszę mi mówić po imieniu. - Niezbyt pewnie podeszła do stołu i usiadła na krześle. Dalej kręciło jej się w głowie i czuła się fatalnie. Była pewna, że nie uda jej się nic przełknąć. Paliło ją w gardle i ćmiło w żołądku. Pani Zofia podeszła bliżej i popatrzyła na nią uważnie.

- Wszyscy mówią do mnie ciocia Zosia, to i ty tak mów. A teraz napij się kawy. Prawdziwa. I trochę przestygła, jest w sam raz. Nie gniewaj się na starą babę. Janusz ci powie, że czasem mam głupie pomysły. I to prawda, że lubię podsłuchiwać. Ale nie plotczę. To już coś.

Kawa była czarna, mocna i aromatyczna. Elżbieta piła ją z przyjemnością, trzymając filiżankę w obu dłoniach. Janusz patrzył zafascynowany na szczupłe palce obejmujące porcelanową czarę i przesuwające się po jej powierzchni. Takie delikatne dłonie, szczupłe nadgarstki i gładka skóra ramion, niknących pod trykotem koszulki.

Wpatrywała się w filiżankę w skupieniu, a jednocześnie błędziła myślami gdzieś daleko. Chyba bardzo daleko. I dziwne, chciałby natychmiast dowiedzieć się, o czym ona myśli. Nawet chciałby jej narzucić, o kim ma myśleć. I wcale nie chodziło mu o Matyldę.

Na górze trzasnęły drzwi, a potem rozległ się lekki tupot drobnych stóp po schodach. Po chwili Matylda stanęła w drzwiach. Freda przytuliła do siebie mocno, a jej błękitne oczy były ciemniejsze, niemal lazuruowe.

- O! Tatuś! A Dino gdzie? Czemu nie pilnujecie Dina?

- Matyldo! - Janusz starał się, jak mógł, żeby w jego głosie brzmiała nagana. - Nie przywitałaś się ani z ciocią Zosią, ani z ciocią Elą.

- Nie?! Bo ja jeszcze nie skończyłam się witać. - Matylda pieczołowicie usadziła Freda na krześle, po czym pobiegła do Zofii i objęła ją w pasie. Przytuliła się do niej na chwilę, a potem wspięła się na kolana Elżbiety. Wycisnęła na jej policzku mokry pocałunek, zbliżyła buzię do jej twarzy i zajrzała głęboko w oczy.

- Pokażę ci dzisiaj sad i ogród. A potem kury i króliki, wiesz?

Elżbieta patrzyła na rozradowaną twarzyczkę i czuła, jak mięknie jej serce. To dziecko miało w sobie tyle wewnętrznego czaru. Ale wyglądało okropnie. Włosy, nie uczesane od poprzedniego dnia, rozsypywały się wokół twarzy, reszta na pozór spięta była gumką, która przesunęła się gdzieś nad prawe ucho. Nałożyła na siebie koszulkę, w której chodziła wczoraj, i to na lewą stronę. Podciągnięte niemal do pach szorty trzymały się na kilkakrotnie wywiniętej w różne strony gumce. Założyła czyste skarpetki, tylko że jedna była żółta a druga pomarańczowa. Tenisówki były nie zasznurowane, a na dokładkę założone odwrotnie, ich czubki wyginały się na zewnątrz. Elżbieta z żalem pomyślała, że żadna z trzech dorosłych osób ani przez chwilę nie zatroszczyła się o dziecko. Tak byli zajęci swoimi, mało ważnymi sprawami. Uśmiechnęła się do małej i spokojnie powiedziała:

- Potem pokażesz mi wszystko. A teraz wrócimy na górę i zrobimy coś z tą szopą włosów i z tym, co masz na sobie.

- Ależ, ciociu, nie trzeba. Widzisz, że sama umiem się ubrać.

- Widzę, kochanie. - Elżbieta miała do siebie żal. Przygotowując dziecko do snu wieczorem powinna była zabrać brudne rzeczy. Nie pomyślała o tym. I to był błąd. Trzeba go było jakoś naprawić i nie

urazić tej dumy z własnej samodzielności. Janusz i Zofia patrzyli na nią wyczekująco, nie mieli zamiaru jej pomóc. Musiała radzić sobie sama. - Ale ponieważ będziemy chodzić razem, powinnaś założyć koszulkę, która by pasowała do mojej. Tymczasem moja jest zielona, a twoja różowa.

- To zielony do różowego nie pasuje? Jesteś pewna, ciociu? A różowe stokrotki w zielonej trawie?

- Ale my nie jesteśmy stokrotki, tylko dziewczynki. Chodź, poszukamy czegoś, żebyśmy wyglądały podobnie. A może to ja będę musiała się przebrać?

- A masz różową koszulkę?

- Chyba nie. Ale mam koszulki w innych kolorach. Chyba znajdziemy coś, co będzie jednakowe.

- To jeszcze coś musisz, ciociu! - Matylda spojrzała na nią krytycznie. - Musisz zdjąć spodnie i założyć szorty. Bo ja w lecie zawsze chodzę w szortach.

Zeszły na dół po dwudziestu minutach. Janusz patrzył na Elżbietę i nie mógł oderwać od niej wzroku. Udało jej się znaleźć koszulki w niemal identycznym, bladobłękitnym kolorze. Matylda była uczesana, umyta, miała jednakowe skarpetki i zasznurowane tenisówki. A Elżbieta! Przy bladoniebieskim kolorze koszulki jej oczy były turkusowe. Miała na sobie szorty, nie, raczej obcięte džinsy. I dopiero teraz widać było jej cudownie zgrabne nogi. Założyła tenisówki, prawie takie same jak Matylda, a szczupłe łydki i delikatne kostki stóp były wręcz zniewalające. Dwa koła, jak dwa brata... Nie! Przymknął oczy, drugi raz nie pozwolił sobie na żadną bezrozumną fascynację. Ściągnął tu tę dziewczynę, tę kobietę, w ściśle określonym celu. Zapropozował jej jedyny możliwy układ. Musi się z nią ożenić i nic więcej. Za stary jest na to, żeby znów się dać omamić. Tymczasem dziecko z zachwytem prezentowało podobieństwo między sobą i Elżbietą.

- Patrz, tatusiu! No, popatrz. Ciocia Ela ma taką samą koszulkę. I widzisz, też ma szorty. I założyłyśmy tenisówki. Widzisz?!

Najszybciej zareagowała Zofia, stawiając na stole talerz mleka z płatkami kukurydzianymi.

- Panno Matyldo! - Jej ton był na poły ironiczny, nieco karcący, a równocześnie pełen wewnętrznego ciepła. - Najpierw śniadanie, potem wycieczki.

- Ale ciocia Ela też musi zjeść śniadanie. - Matylda była wyraźnie rozczarowana.

Janusz spojrział na Elżbietę, wyraźnie wzdrygnęła się na sam widok talerza mlecznej zupy. Najwyższy czas, by się odezwać.

- Ciocia Ela już dawno wstała. Ty jedz swoje śniadanie, a my musimy coś załatwić. Zanim skończysz jeść, wrócimy i będziesz miała ciocię dla siebie. - Podniósł się i wyprowadził Elżbietę przed dom. Kiedy otworzył drzwi, Dino wpadł do środka. Znów ubłocony, otarł im się o nogi, pozostawiając na nich ciemne smugi. Janusz pokręcił głową w poczuciu bezsilności.

- Ten kundel nigdy nie nabędzie żadnych kulturalnych nawyków. Jego się nie da ucywilizować.

- Więc po co go trzymasz?

- Głupie pytanie. Matylda go uwielbia. Znalazła go wpółzamarzniętego w śniegu.

- Opowiadasz. Dziecko latało po mrozie i śniegu, żeby tylko znaleźć półżywego kundla. I ja mam uwierzyć, że ciebie przy tym nie było?

- No dobrze. Byłem. O kundlu porozmawiamy innym razem. Teraz mamy co innego do załatwienia. Masz prawo jazdy?

- Tak. Mam.

- Umiesz prowadzić samochód? Jeździsz?

- Czasem. Ojciec pożycza mi swojego malucha.

- To wsiadaj. - Byli przy garażu. Na podjeździe stała popielata toyota. - Jedź do bramy.

Elżbieta zamarła z kluczami w ręku. Ma wsiąść w to małe cudo i jechać nim sama? Ojciec zawsze mówił, że jest niezłym kierowcą, ale... Zerknęła na Janusza - nie żartował. Ona też nie miała nastroju do żartów. Siadła za kierownicą. To nawet nie było takie trudne, chociaż spocila się jak kościelna mysz. Zatrzymała samochód przy bramie. Wysiadła i podeszła do ogrodzenia. Janusz dotknął solidnych, metalowych prętów i odwrócił się do niej.

- Otwieranie bramy jest bajecznie łatwe. To jest ręczny zatrask, którego nie otworzy ani dziecko, ani pies. Tu trzeba przycisnąć, a tu odwrócić. Brama otworzy się sama. Spróbuj, musisz wiedzieć, jak stąd wyjść.

- Nie boisz się, że ucieknę?

- Myślę, że umiałabyś przejść nawet przez uzbrojony elektronicznie płot. Ale tu chodzi o Matyldę. Żeby nie mogła wyjść bez naszej wiedzy. Teraz sama spróbuj.

Elżbieta niezręcznie usiłowała poradzić sobie z zatraskiem. Ręce jej drżały. Janusz ujął jej dłonie i kilkakrotnie pokazywał, jak otwierać zamek. Czowała ciepło jego ciała i zupełnie niespodziewanie sprawiło jej to przyjemność. Za trzecim razem się udało. Poczowała żal, kiedy się odsunął. Samodzielnie jeszcze dwa razy zwalniała zamek, aż wreszcie było pewne, że nie sprawia jej to trudności. Chciała podejść do samochodu od strony pasażera, ale mężczyzna ją uprzedził. Z przyjemnością usiadła znów za kierownicą, odprowadziła samochód na podjazd i ustawiła w poprzednim miejscu.

Wyjęła kluczyki ze stacyjki i wyciągnęła je w kierunku Janusza. Ale on nie wziął ich do ręki, tylko podał jej plastikowy portfel.

- Tu są dokumenty wozu. Możesz z niego korzystać, kiedy zechcesz. Tylko jeżeli będziesz wyjeżdżać z Matyldą, uprzedź mnie, dokąd jedziecie i kiedy wróćcie.

- Powierzasz mi samochód?! - Nie mogła otrząsnąć się ze zdumienia. Wiedziała przecież, jak mężczyźni przywiązani są do swoich zabawek. Jej ojciec denerwował się zawsze, kiedy pożyczala jego malucha, i widziała, że nie ma całkowitego zaufania do kobiety za kierownicą.

- Powierzam ci dziecko. A samochód to tylko rzecz nabyta.

- Ale to zbyt cenny wóz. Ja nie mogę...

- Nie tylko możesz, ale musisz. To jest wieś. Nie ma tu tramwajów ani autobusów co pół godziny. Nie można wezwać taksówki. Musisz mieć jakiś środek lokomocji, choćby po to, żeby pojechać do sklepu.

- Wystarczyłby rower.

- Po pierwsze, akurat roweru nie mam, a po drugie, nigdy bym się nie zgodził, żebyś wozila Matyldę na ramie. To zbyt niebezpieczne.

- Jesteś... jesteś nieprawdopodobny, wiesz?

- Tego niestety nie wiedziałem. - Uśmiechnął się do niej tak promiennie, jak poprzedniego dnia do Matyldy. I zupełnie niespodziewanie dla samej siebie pomyślała, że powinien się tak uśmiechać ciągle. - A teraz wracaj do domu i pozwól, żeby dziecko pokazało ci nasz inwentarz. A mnie już pora iść do pracy.

Wskoczył do volkswagena i po chwili go nie było. Elżbieta stała jeszcze czas jakiś, patrząc za odjeżdżającym samochodem. A potem weszła do kuchni i stanęła jak wryta. Dino z ogłupiałym wyrazem pyska i podkulonym ogonem cofał się krok po kroku przed wyraźnie agresywnie nastawionym kotem. Ogromne, rude kocisko ustawiło się między psem a miską, nastroszyło sierść i fuczało głośno, od czasu do czasu odsłaniając białe zęby. Kiedy pies odważył się zatrzymać na moment, kot wyciągał przed siebie łapę uzbrojoną w sierpowate pazury i wymachiwał nią groźnie. Wyglądał istotnie niebezpiecznie, a postrzępione brzogi uszu dowodziły, że był uczestnikiem licznych potyczek. Nie ulegało wątpliwości, że wychodził z nich zwycięsko. Dino najprawdopodobniej był o tym przekonany, bo w końcu, skomląc cicho, na przykurczonych nogach, schronił się za krzesłem Matyldy. Kocur uznał to za wystarczające zwycięstwo, bo uspokoił się, odwrócił majestatycznie i powoli, ale z wielką godnością obwąchał miskę. Wyjął z niej kawałek mięsa, położył na podłodze, obejrzał dokładnie z wszystkich stron i zjadł, nie spiesząc się specjalnie, po czym zadarł ogon i powolnym krokiem skierował się ku drzwiom. Popatrzył na Elżbietę, zmrużył lekko oczy i z niskim mruknięciem otarł się o jej łydkę. Po chwili zniknął w głębi domu.

- Patrzcie no! - Głos pani Zofii pobrzmiwał zdumieniem. - Tego jeszcze nie było, żeby Buras się do kogoś przymilał.

- Dinuś, biedny piesek - szczebiotała Matylda wciskając się pod stół za psem. - Wstrętne kocisko już sobie poszło. I nawet ci wszystkiego nie zjadło. Chodź do miski, piesuniu. Trzeba zjeść śniadanko.

Pies jednak ani myślał wychodzić spod stołu, więc Matylda próbowała z nim dalej negocjować. Elżbieta postanowiła zadzwonić do matki. Poszła korytarzem do gabinetu. Był to niewielki pokój, utrzymany w barwach brązu i ciemnej zieleni. Na półkach specjalistyczna literatura i czasopisma rolnicze, a obok szafy z dokumentami stolik z komputerem. Ale centralne miejsce zajmowało ogromne, staroświeckie biurko i stojący przy nim głęboki, klubowy fotel. Z przyjemnością rozparła się wygodnie i przysunęła do siebie telefon. Ze zdziwieniem zauważyła, że numer telefonu rodziców zapisany jest w pamięci aparatu. Wystarczyło przycisnąć guzik. Matka podniosła słuchawkę prawie natychmiast.

- Elżbieta? Dzięki Bogu. Już miałam dzwonić na policję.

- Nie rozumiem dlaczego.
- Bo powinnaś zadzwonić wczoraj.
- Wczoraj odsypiałam podróż. Mogłaś o tym pomyśleć.
- Tak się o ciebie bałam, że od zmysłów odchodzę, a ty mówisz, że mam myśleć? No i co? Opowiadaj!
- Dojechałam na miejsce. Tu jest pięknie i tak spokojnie. Fantastyczny dom i cudowna okolica.
- Daj spokój krajobrazom. Co z dzieckiem?
- Matylda jest wspaniała. I zewnętrznie podobna do Ireny.
- Myślisz, że to jej córka?
- Nie mam żadnych wątpliwości.
- Lepiej dobrze wszystko sprawdź. Ten człowiek może ci wmawiać jakieś inne dziecko. Mówiłam ci, że mu nie ufam.
- Ubrdałaś sobie coś i trzymasz się tego kurczowo. Nie mam powodów mu nie wierzyć. Zresztą jutro mam być u adwokata i załatwić formalności.
- Tylko uważaj, bo adwokat też może być przekupiony.
- Co ty się zrobiłaś taka podejrzliwa. Wszystko jest w najlepszym porządku. Zapewniam cię.
- Niech ci będzie. To pewnie przyjedziesz z dzieckiem w przyszłym tygodniu.
- Raczej nie. Obiecałam tu zostać do końca sierpnia.
- Przecież to niepotrzebne.
- Potrzebne. Dziecko musi się przyzwycząić do mnie.
- Trudno. Cokolwiek powiem, i tak mnie nie posłuchasz. To ucałuj ode mnie aniołeczka.
- Nie nazywaj Matyldy aniołeczkiem! - Elżbieta podniosła głos. - Już miałaś jednego aniołeczka i wiesz, co z tego wynikło.
- Nie widzę, w czym by to miało zaszkodzić. W końcu to tylko takie zdrobnienie.
- Wymyśl sobie inne. A tego sobie nie życzę.
- Jak ty się do mnie odzywasz?! - Głos matki brzmiał piskliwie. - Jesteś tam tylko dwa dni i już nie masz szacunku do matki. A co będzie dalej? To na pewno wpływ tego typu.
- Nie sądzę. Ale teraz muszę już kończyć. Zadzwonię za kilka dni.
- Uważaj na siebie, córeczko. I bądź ostrożna. Będę się modlić.
- Do widzenia, mamó.

Powoli odłożyła słuchawkę, ale nie wstawała. Zamyślona bębniła palcami w dębowe biurko. To było do przewidzenia. Na matkę nie miała co liczyć. Była tak przywiązana do własnego zdania i na wszystko reagowała nerwowo. Ona na pewno nie pomoże jej w podjęciu decyzji. Nie było nawet sensu mówić jej o propozycji Janusza. Znów wpadłaby w histerię. A tego akurat Elżbiecie najmniej było potrzeba. Ma całe dwa miesiące na przemyślenie wszystkiego. A teraz czeka na nią dziecko. I mają przed sobą mnóstwo czasu, żeby się lepiej poznać.

W kuchni nie było już ani małej, ani psa. Tylko pani Zofia ścierała podłogę. Głosik Matyldy słyhać było przed domem. Elżbieta wyszła na zalany słońcem dziedziniec. Pies siedział na trawniku i uważnym wzrokiem wpatrywał się w stojące przed nim dziecko. Matylda trzymała misia pod pachą, a drugą ręką wymachiwała psu przed nosem. Pogadanka na tematy wychowawcze musiała trwać już jakiś czas.

- ...brudzić podłogę. Dobrze wychowany pies ma wycierać łapy. Tam jest wycieraczka i ona po to leży. A nie, żeby ciocia Zosia ciągle myła podłogę. Zrozumiałeś, Dino? - Elżbieta musiała się roześmiać, kiedy pies otworzył pysk i wysunął język, jakby kiwając głową twierdząco. Gotowa była się założyć, że nie zrozumiał ani słowa i nie myśli zastosować się do wydanych zaleceń. Ale dziecku to widać wystarczyło, bo odwróciło się i straciło całe zainteresowanie pracą wychowawczą. - O, ciocia Ela, nareszcie! Pójdziemy do kurek i króliczków, dobrze?

Wsunęła drobną rączkę w dłoń ciotki i poprowadziła Elżbietę na lewo, gdzie w cieniu dwóch ogromnych lip stał niewielki budynek z czerwonej cegły. Część terenu wokół budynku była ogrodzona niskim, najwyżej półmetrowym płotkiem. Po tym rozgrzebanym i wydeptanym trawniku kłębiło się stadko około dwudziestu kur. Białe, z ciemniejszymi piórkami na szyi i niemal zupełnie ciemnymi na ogonach. Pomędzy nimi majestatycznie przechadzał się ogromny kogut, łypiąc dookoła groźnym wzrokiem. Jego czerwony grzebień był tak duży, że opadał mu na bok, przykrywając zawadiacko jedno oko. Elżbieta zatrzymała się na chwilę, ale Matylda pociągnęła ją dalej. W przestronnym pomieszczeniu znajdowało się kilka obszernych klatek, a w nich króliki. Większość z nich wydała się dziewczynie zupełnie zwyczajna, wyglądały całkiem podobnie do

najzwyklejszych zajęcy. Pomyślała, że dalej nie wie, czym mianowicie zając różni się tak naprawdę od królika. Ale w dwóch klatkach zobaczyła stwory raczej dziwne. Były białe, może lekko srebrzyste, tego akurat w panującym półmroku nie była pewna, i miały śmiesznie długie, opadające w dół uszy. W mniejszej klatce siedział tylko jeden królik, pewnie samiec; w drugiej, trochę większej, samica z sześcioma młodymi. Na widok ludzi wszystkie zaczęły się kłębić przy siatce, wspinać, przepychać. Wpatrywały się w Elżbietę wyłupiastymi oczami, a ich śmieszne nosy poruszały się szybko.

- One są ciągle głodne, ciociu - tłumaczyła Matylda tonem dorosłej osoby. - Tatuś mówi, że jedzą wszystko, co jest zielone jak sałata i czerwone jak marchewka. Dobrze, że wybrałaś niebieskie bluzeczki.

- Więc myślisz, że dadzą nam spokój? - Elżbieta uśmiechnęła się do małej.

- Jasne! Zielone z różowym było gorsze. - Wyciągnęła z kąta koszyk, w którym składano obierki jarzyn, liście sałaty i chyba chwasty z ogrodu. Otwierała ostrożnie klatki i wrzucała do nich zieleninę, uważając, by żadne zwierzątko nie wymknęło się z kojca. Widać było, że ma w tym sporą wprawę. Dziewczyna nieporadnie zaczęła jej pomagać. Kiedy wszystkie króliki skupiły się na zieleninie i gryzły karmę, ruszając nosami i policzkami, podeszła znów do klatki z białymi królikami. Widok ich mordek był fascynujący. Wydało się jej, że podobny kształt pyszczka widziała kiedyś w ZOO.

- Śliczne, prawda? - Matylda stała znowu przy niej. - Tatuś przywiózł je cioci w tym roku, jak był w Holandii. Te dwa duże. Bo te malutkie są całkiem nasze. I one się tak śmiesznie nazywają. Barany francuskie. A przecież to króliki, nie barany. I z Holandii, a nie z jakiejś Francji. Chcesz potrzymać? - Otworzyła klatkę i złapała za uszy siedzące najbliżej zwierzątko.

- Co ty robisz? - Elżbieta była zaszokowana. - Przecież go to boli!

- Coś ty, ciociu, króliki tak się właśnie nosi. Tylko nie można długo. - I położyła jej na rękach wierzgające bezradnie zwierzątko. Czując oparcie, królik uspokoił się natychmiast i pozwalał się głaskać, przytulony ufnie do piersi dziewczyny. Futerko miał jedwabście miękkie. - Teraz on pójdzie do mamusi, a my nakarmimy kurki.

Przez niewielką furtkę wróciły do kurnika. Pomieszczenie było otwarte, wewnątrz widać było wybielone ściany, porządne grzędy i

kilka wymoszczonych sianem kojców. Matylda zniknęła na chwilę w środku i wyszła niosąc pojemnik z pośladem. Stały tak, patrząc, jak kury tłoczą się, dziobiąc rzucane im ziarno. Tylko kogut nieufnie obserwował je z pewnej odległości. Kury przepychały się, gdacząc głośno, i Elżbieta zauważyła, że wszystkie są identyczne. Przypomniała sobie króliki, pewnie kury też są rasowe. Janusz jest konsekwentny. I nie poprzestaje na byle czym, musi mieć wszystko, co najlepsze. Czy można walczyć z kimś takim? Przez chwilę myślała o jego zniewalającym uśmiechu i tym krótkim „ja nie”, pełnym zaufania do obcej w końcu kobiety. Zamyśliła się i to był błąd. Nie wiedziała, że dziecka i psa nie można tracić z oczu. Nagle jakiś czarno-biały kształt przesadził ogrodzenie. Dino wylądował w samym środku stadka kur, które rozbiegły się gdacząc bezradnie. Kogut natychmiast przystąpił do akcji. Bijąc skrzydłami i wydzierając się przeraźliwie, gonił intruza, który ani przez chwilę nie pomyślał, że mógłby po prostu skoczyć z powrotem. Z podkulonym ogonem uciekał przed zacietrzewionym przeciwnikiem, bezmyślnie zataczając coraz większe koła. Potracane przez psa i koguta kury wyfruwały w panice poza ogrodzenie, pędząc przed siebie na oślep. W końcu w środku pozostały tylko one dwie, rozwścieczony kogut i przerażony pies. Wreszcie Dino przeskoczył przez płotek, a zwycięski kogut obwieścił głośno swój sukces i dumnie przechadzał się po obronionym terenie, co chwila wyrzucając mocnymi nogami fontanny piasku.

Do samego obiadu Elżbieta z Matyldą łapały kury dookoła domu. Całe szczęście, że teren był ogrodzony wysoką siatką.

ROZDZIAŁ PIĄTY

- No i jak się bawiliście? - Janusz odsunął od siebie talerz i sięgnął po szklankę z czereśniowym kompotem.

- Bardzo dobrze - wtrąciła się pani Zofia, zbierając talerze. - Przez kilka godzin łąpały kury. Upaprały się po uszy, zamiast otworzyć furtkę i dać kwokom ziarna. Przecie same by przyszły. A potem nasze dziewczynki musiały się wykąpać i zrobić pranie. I tak im zeszło do samego obiadu.

Nie mógł się powstrzymać od spojrzenia na Elżbietę. Była zażenowana i spuściła nisko głowę nad talerzem. Zdradziecki rumieniec oblewał jej policzki, uszy też miała czerwone. W żółtej bluzeczce, oczywiście identycznej jak Matyldy, też wyglądała świetnie. Przy tym kolorze jej oczy, których wyraz usiłowała ukryć, stały się intensywnie zielone. Uśmiechnął się pod nosem i zwrócił do dziecka:

- Myślę, Matyldo, że należą mi się jakieś wyjaśnienia. Od dawna wiesz, że kur nie wolno wypuszczać i trzeba starannie zamykać furtkę.

- Myśmy ich wcale nie wypuścili! - Matylda aż podskakiwała na krześle, niezmiernie przejęta. - To ten kogut. On tak gonił biednego Dina, że wszystkie kurki się przestraszyły i pouciekały. A ten kogut by mu zrobił krzywdę, wiesz?! Zróbmy z niego rosół i będzie spokój!

- Chyba więcej by było spokoju, gdybyśmy Dina przerobili na futrzak.

- Tylko nie Dina! - Matylda zeskoczyła z krzesła i przytuliła się do rozwalonego na środku kuchni kundla. - Dinuś jest mój i on jest grzeczny. Ja nie pozwolę! I ciocia Ela też nie da, prawda?! - Niebieskie oczy Matyldy spojrzały na nią w bezbrzeżnym zaufaniu. Nie mogła go zawieść. Nie zdążyła jednak nic powiedzieć.

- No to i rosołu nie będzie. Bo ciocia Zosia nie pozwoli ruszyć koguta. - Janusz rozparł się wygodnie na krześle. - Co będziecie robić po południu?

- Do lasu! - krzyknęło dziecko, podbiegając do Elżbiety. - Pójdziemy do lasu. Tam są poziomki. I maliny. I jagody.

- O nie! - Poczula, że nie ma siły na takie wyprawy. - Muszę odpocząć nad jeziorem.

- Znowu?! - Matylda była wyraźnie rozczarowana.

- Te kury mnie wykończyły. Zresztą mamy coś ważnego do zrobienia. Weźmiemy szampon i porządnie wykąpiemy Dina. Jest taki brudny, że nie powinno się go wpuszczać do twojego pokoju.

- Wreszcie ktoś się tym zajmie - zgryźliwie zauważyła stojąca przy zlewie Zofia. - To bydlę nosi na sobie błoto jeszcze od wiosennych roztopów. A Januszowi nie starcza na niego czasu.

- Chciałem go kiedyś wykąpać w pralni, ale mi nie pozwoliłaś.

- Pewnie! Jak go kąpałeś jesienią, to potem otrzepywał się z wody po całym domu. A ile rzeczy poprzewracał. To już lepiej nad jeziorem.

- A ochrona środowiska?

- Widziałam w mojej łazience szampon ekologiczny i do tego antyalergiczny - przerwała Elżbieta. - Sądzę, że nie zaszkodzi ani psu, ani środowisku.

- Pewnie nie! - Zofia zwróciła się do Elżbiety. - W pralni są stare ręczniki. Może uda ci się go wytrzeć, zanim się znowu wytarza jak prosię. Stara szczotka i grzebień też się znajdą.

- To co ja będę robić?! - Buzia Matyldy wykrzywiła się z niechęcią. - Zanudzę się okropnie.

- Jak to? - Elżbieta patrzyła na nią, demonstrując bezgraniczne zdumienie. - A kto go będzie pilnował, żeby mi nie uciekł? Sama sobie nie dam rady.

- Jestem bardzo potrzebna?

- Oczywiście. Przecież Dino słucha tylko ciebie.

- Jeżeli kogokolwiek słucha - mruknął Janusz z przekąsem. - Bo ja mam wrażenie, że ten pies jest zupełnie pozbawiony rozumu.

- Mądry! Dino jest mądry! - Matylda podskakiwała na środku kuchni, szorty znów zsuwały jej się do kolan, a włosy wymykały się spod gumki i rozsypywały wokół twarzy. Elżbieta przyciągnęła ją do siebie i poprawiła małej ubranie. Z włosami było trochę więcej kłopotu, ale poradziła sobie bez grzebienia. Przyszło jej do głowy, że lepiej by było obciąć je na krótko. Musi o tym porozmawiać z Januszem. Ale on właśnie wstał i sięgnął po rzucone na kredens kluczyki.

- Postaram się być dzisiaj przed siódmą. A wy bawcie się dobrze, razem z tym niezwykle inteligentnym przedstawicielem psiego rodu. - Pocałował Matyldę w czoło, ciotkę cmoknął w policzek, a Elżbietę obrzucił przeciągłym spojrzeniem i wyszedł.

Usłyszała szum zapuszczanego silnika i odczuła irracjonalny żal, że nie obdarzył jej choćby najbardziej zdawkową pieśczętą.

Leciutki wietrzyk wiał w stronę jeziora, lekko marszcząc jego powierzchnię. Woda była zupełnie przejrzysta. Elżbieta rozłożyła koc, a koszyk z podwieczorkiem postawiła w cieniu pobliskich krzewów. Ubrana tylko w kostium kąpielowy usiadła na kocu i zastanawiała się, jak zamoczyć psa, który biegał dookoła jak zwariowany, ścigając się z Matyldą. Na pomoc dziecka nie liczyła zbyt wiele, a pies musiał być wykąpany. Nagle Matylda chwyciła jakiś kamień i wrzuciła go do jeziora. Dino wbiegł w wodę bez zastanowienia, zatrzymał się w miejscu, gdzie kamień zniknął mu z oczu, i wsadził pysk pod wodę, usiłując go odnaleźć. Rozczarowany, że węchem nie może go rozpoznać, zawrócił na brzeg. Kudły po wierzchu były całkiem mokre. Elżbieta zerwała się, rzuciła kamień nieco dalej niż Matylda. Dino, rozpryskując wodę, pobiegł przez płyciznę, a następnie zaczął płynąć. Potem krążył w miejscu, wsadzając łeb pod wodę. Zanim wyszedł na brzeg, rzuciła drugi kamień i trzeci. W końcu uznała, że pies jest wystarczająco mokry. Ułożyła jeszcze kupkę kamieni, przydadzą się do płukania zwierzęcia. Wzięła butelkę z szamponem i zawołała Matyldę. Udało im się złapać i przytrzymać psa na płytce wodzie. Pierwsze pół butelki szamponu nie chciało się pienić. Szarobure strugi spływały z sierści i rozlewały się po wodzie tłustawymi plamami. Pies stał zupełnie spokojnie na drżących nogach, nawet nie usiłując się wyrywać. Albo był przerażony, albo zmęczony. Nie miała czasu się nad tym zastanawiać. Spłukała go pospiesznie i znów polalała szamponem. Tym razem pojawiła się gęsta, szara piana. Dopiero za trzecim razem szampon pieniał się normalnie. Ledwo go starczyło. Półlitrowa butelka luksusowego szamponu była po prostu pusta. Rzucanie kamieniami spełniło swoje zadanie. Pies wypłukał się sam. Ale o wycieraniu nie było już mowy. Dino jak oszalały biegał w kółko, strzepując co chwilę fontanny wody z długawej sierści. Elżbieta i Matylda były zupełnie mokre i zaśmiewały się do łez. Wreszcie Dino kątem oka zauważył koc i rzucił się w jego kierunku, zanim zorientowały się, o co mu chodzi. Wycierał się o koc zapamiętale, jeżdżąc po nim to jednym, to drugim bokiem, szorując łbem i uszami. Po chwili pies był wprawdzie suchy, ale koc zupełnie mokry. Na szczęście miały jeszcze ręczniki, więc mogły na nich

usiąść i zjeść ciasto z czereśniami, przygotowane przez Zofię na podwieczorek.

Wróciły do domu koło szóstej, kiedy promienie słoneczne zaczęły tracić ciepło, a drzewa rzucały coraz dłuższe cienie. Pies biegł za nimi i wcale nie był do siebie podobny. Długa sierść lśniła i była jedwabście miękka. Białe łaty połyskiwały jak śnieg, a czarne miały aksamitną głębię. Wyglądał prawie jak czarno-biały cocker-spaniel, tylko miał za długie nogi i zbyt krótkie uszy. Wyczesanie sierści zajęło im prawie godzinę, ale opłaciło się. Pani Zofia spojrzała na niego i na psa, po czym postawiła na stole kubek mleka dla dziecka, a dla Elżbiety filiżankę mocnej, czarnej kawy.

- Powinnyśmy się najpierw umyć i przebrać - westchnęła Elżbieta, wdychając z zadowoleniem aromatyczny zapach i starając się nie pamiętać, że nadmiar kawy jej szkodzi.

- Jest czas - Zofia wzruszyła ramionami. - Wykąpię i przebiorę małą, a ty w tym czasie zajmij się sobą. Posmaruj twarz i ramiona tym. Nogi też. - Postawiła przed nią słoiczek jakiegoś mazidła.

- Co to jest?

- Maść na oparzenia słoneczne. Słońce dzisiaj było mocne. Nie przywykłaś do niego, w mieście tak nie grzeje.

- Wcale nie czuję, żeby się poparzyła.

- Poczujesz. Po kąpeli albo nad ranem. My są nawykłe, ale ty możesz płakać. Lepiej zrób to wcześniej.

Maść pachniała miodem i ziołami. Rzeczywiście po kąpeli skóra trochę zaczęła piec. Włożyła bawełnianą luźną sukienkę i lekkie klapki. Janusz był już na dole. Po dniu pełnym wrażeń Matylda zasypiała, oczy zamykały jej się same i ledwo podnosiła do ust kromkę chleba. Janusz próbował się z nią droczyć, ale to nic nie dało. Dziecko lgnęło do Elżbiety coraz bardziej. Zaprotestowało, kiedy wziął je na ręce. Musieli iść razem na górę. Przebierała Matyldę w koszulkę nocną tak, jak przebiera się lalki. Mała zasnęła, gdy tylko otulili ją kocem. Dino westchnął, obrócił się parę razy i zwinął w kłębek na dywaniku.

Kiedy schodzili na dół, Zofia właśnie zamykała drzwi od salonu. Na stoliku obok kanapy stał dzbanek z herbatą i dwie filiżanki. Spojrzała na nich z determinacją.

- Ja to idę spać. I nie będę podsłuchiwać. Róbta, co chceta.

Z godnością poszła na górę. Elżbieta weszła do pokoju, bo Janusz przytrzymał jej drzwi. Nie bardzo miała ochotę zostawać z nim sam na sam, ale też nie chciało jej się iść do swojego pokoju. Włączył telewizor i podszedł do barku.

- Może teraz napijesz się swojego ulubionego wina?

- Skąd wiesz, że to moje ulubione?

- Rzadko kto wie, że takie wino istnieje. I nie znam nikogo, kto rozpoznałby je po butelce. Więc jak, nalać ci trochę?

- Ale tylko pół kieliszka.

- Według życzenia. - Po chwili trzymała w ręku oszroniony kieliszek. Janusz rozgrzewał w dłoni koniakówkę. Przyglądał się jej z uwagą, kiedy półironicznym tonem zapytał: - To był ciężki dzień, co? Czujesz się zmęczona?

- Najbardziej łapaniem kur. Cały czas się bałam, że poginą i będziesz miał do mnie pretensje. To jakiś rasowy drób, prawda?

- Saseksy. Dobra rasa. Mają delikatne mięso i nieźle się niosą. Zofia nie lubi kupować żywności w sklepie. Kogut nie pójdzie na rosół, ale pięć dwuletnich kur poczeka na swoją kolej. Na wiosnę uzupełni się stado.

- A króliki?

- Przede wszystkim na mięso. Jest chude i lekkostrawne. Zdrowa dieta dla dziecka.

- Matylda o tym wie?

- Nie sędzę. Nigdy nie widziała egzekucji. Robię to wieczorem, kiedy śpi. Ale nie wykluczam, że się domyśla.

- To inteligentne dziecko.

- Tak, bardzo. Nie wykończyła cię?

- Wcale. Jest cudowna. Taka żywa i bystra. Bezpośrednia i nieskrepowana. Szczera i prawdziwa. - Poczowała łyzy pod powiekami. - Taka podobna do Ireny i taka od niej różna. Opowiedz mi o Irenie.

- Nie dzisiaj. - Janusz obracał kieliszek w dłoni i niewidzącym wzrokiem wpatrywał się w przestrzeń. - Może kiedyś, jak będę mógł.

- Kochałeś ją?

- Tak. Kiedyś ją kochałem.

- I skrzywdziła cię. - Elżbieta wpatrywała się w jego mocne plecy, kiedy po ostatnich słowach odwrócił się do niej tyłem. - Krzywdziła wszystkich, którzy ją kochali.

- Może nie umiała inaczej.

- Może.

Powinna była wypytać go o wszystko, co dotyczy Ireny i Matyldy. Powinna. Ale nie miała odwagi. Widziała, że nie chciał mówić. Przynajmniej nie tego wieczoru. I bała się usłyszeć prawdę, zbyt dużo prawdy o własnej siostrze. Siedzieli przez dłuższy czas w milczeniu. Film zapowiadano jako interesujący, ale obydwójce nie bardzo wiedzieli, czego dotyczy. Ta cisza, to milczenie nie było nawet krępujące. Elżbiecie dawno nie zdarzyło się cieszyć jakimś towarzystwem i nie czuć przymusu podtrzymywania rozmowy. Janusz odprężył się, obecność tej kobiety wpływała na niego kojąco. Sam był zdziwiony, że milczenie może tak zbliżać.

- Nie musisz tu ze mną siedzieć, jeśli nie chcesz - powiedział pozornie niedbałym tonem.

- Wiem. Na górze jest telewizor i mogę się zamknąć w pokoju.

- Jeżeli tego chcesz.

- Widocznie nie chcę. Chyba, że ty chcesz, żebym sobie poszła.

- No więc nie chcę. Dzwoniłaś do rodziców?

- Tak. Rano. - Aż westchnęła na przytłaczające wspomnienie tej rozmowy.

- Było źle?

- Fatalnie. Wpadłam w ręce oszusta, który podstępnie wykończył moją siostrę i usiłuje mi wtrynić jakieś dziecko. Mama nie może się tylko do końca zdecydować, czy to jej ukochana wnuczka, czy upiorny podrzutek.

- Bierzesz jej zdanie pod uwagę?

- Biorę pod uwagę, że jest moją matką, i jakoś się z nią muszę dogadać. A zdanie mam od lat własne. Opinie mojej matki są najczęściej powierzchowne.

- I to cię dodatkowo wyprowadziło z równowagi?

- Od wczoraj żyję jak na przyspieszonej projekcji filmu. Za dużo tego wszystkiego na raz.

- Mogę zadzwonić do adwokata i odwlec to spotkanie.

- Nie! To akurat powinno być załatwione jak najprędzej. Natomiast co do reszty...

- Obiecałem, że nie będę cię ponaglać. I nie mam zamiaru tego robić.

- Wiem. Tyle już o tobie wiem.

Koło jedenastej poszli na górę w najlepszej zgodzie. Przedtem Elżbieta jeszcze pozmywała filiżanki i kieliszki, a Janusz wyprowadził Dina. Z rozkoszą wyciągnęła się na łóżku. Już prawie zasypiała, kiedy na kołdrę wskoczył kot i z głośnym mruzeniem zwinął się w kłębek. Zasypiając uśmiechnęła się do siebie. Tylko pani Zofia jej nie zaakceptowała do końca. Poza tym... czuła się jak w rodzinie.

Matylda była wyraźnie niezadowolona. Grzebała łyżką w zupie mlecznej i z odrazą patrzyła w talerz, jakby pływały w nim żaby. Policzki jej się wyduły, a wargi były mocno zaciśnięte. Starła się nie zwracać uwagi ani na Janusza, ani na Elżbietę. Za to on nie mógł od Elżbiety oderwać oczu. Letni kostium z surowego lnu w kolorze ciemnego złota idealnie harmonizował z jej włosami i podkreślał intensywnie zieloną barwę oczu. Uszyty był też jakoś tak niezwykle, że podnosił biust, podkreślał okrągłość bioder i eksponował długie i szczupłe nogi. I chyba wszystko byłoby łatwiejsze, gdyby nie była taka... taka niesłychanie kobieca.

- Przestań grzebać w tej zupie - burknęła gniewnie Zofia. - Kończ śniadanie i idziemy do sadu. Reszta czereśni jest do zerwania.

- Nie chcę czereśni! - Matylda uderzyła łyżką i zupa rozprysnęła się dookoła. Na szczęście kostium Elżbiety nie ucierpiał, ale na granatowych spodniach Janusza widniały mokre plamy. - Chcę z ciocią Elą!

- Nie pojedziesz. - Janusz wstał od stołu i skierował się do drzwi, musiał się przebrać. - Masz zostać z ciocią Zosią i już.

- A dlaczego?

- Bo mamy coś do załatwienia.

- Nieprawda! - upierało się przy swoim dziecko. - Ty ją zawieziesz do miasta i ona już nie wróci!

- Lepiej idź się przebrać - Elżbieta przerwała mu rozmowę z dzieckiem. - Sama jej wytłumaczę. Jak zjesz zupę - zwróciła się do małej - możesz pójść do mojego pokoju i sprawdzić, że wszystko tam zostawiłam. A kiedy załatwimy swoje sprawy, to poszukam dla nas jednakowych koszulek, bo na razie mamy takie same tylko trzy, dobrze?

Matylda skinęła głową, zupa mleczna zniknęła z talerza w rekordowym tempie. Po chwili słychać było jej kroki na schodach. Gdy zbiegła na dół, była zupełnie zadowolona z inspekcji w pokoju Elżbiety.

Mecenas Stefan Wilczyński przyjął ich w swojej kancelarii na drugim piętrze secesyjnej kamienicy. Był szczupłym brunetem o wyrazistej twarzy, pomimo wczesnej pory i upału ubranym w elegancki garnitur. Mógł mieć około czterdziestki. Przywitał się z Elżbietą, mocno ściskając jej dłoń.

- Cieszę się, że wreszcie panią widzę. Najwyższy czas nadać bieg sprawie. W sądzie rodzinnym zaczynają się już niepokoić nieustabilizowaną sytuacją dziecka. Gdyby nie zapewnienia Janusza, że panią odnajdzie, Matylda byłaby już dawno w jakiejś placówce opiekuńczej.

- Ale ja wcześniej nic nie wiedziałam - przeraziła się Elżbieta.

- Oczywiście. Toteż do czasu nawiązania z panią kontaktu sąd postanowił pozostawić dziecko w dotychczasowym miejscu pobytu. - Podszedł do biurka i wyjął teczkę z dokumentami.

- Janusz powiedział, że wszystko jest gotowe do podpisu. - Wpatrywała się w adwokata z przejęciem, zupełnie bezwiednie trzymając się kurczowo dłoni swego towarzysza. - Czy to znaczy, że mogę wystąpić o adopcję?

- Niczego pani nie wytłumaczyłeś? - zdziwił się adwokat.

- Wolałem, żebyś ty to zrobił. - Janusz wstał i podszedł do okna. - W końcu kto się lepiej na tym zna...

- Mogą być jakieś trudności? - Elżbieta przenosiła przerażony wzrok z jednego mężczyzny na drugiego. - Czy nie dostanę Matyldy?

- O tym nie może być mowy! - Głos adwokata brzmiał zdecydowanie. - Jest jednak problem natury proceduralnej. Jak rozumiem, podjęła pani decyzję co do adopcji.

- Właśnie. Janusz zapewnił mnie, że wszystkie dokumenty są gotowe.

- To prawda. Wszystko przygotowałem wcześniej.

- A zmieniłeś nazwisko w papierach, jak ci mówiłem? - wtrącił Janusz. - Elżbieta po rozwodzie wróciła do swojego...

- Nie martw się. To nie jest żaden problem.

- No więc co jeszcze jest nie tak?! - Czuła się zupełnie skołowana. Wydawało jej się, że zaopiekuje się córką siostry prawie automatycznie. Była przekonana, że ta opieka jej się należy. Już prawie uwierzyła, że Matylda będzie jej córką. Nie przewidywała żadnych problemów.

- Pani Elżbieto, proces adopcyjny trwa wiele miesięcy. Nie wystarczy pani pokrewieństwo z Matyldą i fakt, że jest pani jej jedyną krewną. Sąd będzie prowadził wywiad środowiskowy. Być może zleci rozmowy z psychologiem. A to wszystko musi potrwać.

- Jak długo? - Była pewna, że usłyszeli tę obawę, która przenikała ją całą. - I co się przez ten czas stanie z dzieckiem?

- Kilka miesięcy, może nawet rok. I dlatego proponuję co innego. Wystąpię w pani imieniu do wydziału rodzinnego sądu o przyznanie statusu rodziny zastępczej. Przez ten czas dziecko pozostanie w dotychczasowym miejscu, ale pod pani opieką. Janusz zapewnił mnie, że jest to możliwe.

- Uważa pan, że nie mogę jej adoptować? Dlaczego? - Elżbieta miała łzy w oczach. Już zdążyła się przyzwyczaić do myśli, że będzie miała córkę.

- Ależ źle mnie pani zrozumiała. Jak tylko dostaniemy decyzję o rodzinie zastępczej, natychmiast wystąpimy z wnioskiem o adopcję. Ale wtedy będzie pani prawną opiekunką dziecka, co powinno ułatwić całe postępowanie i przyspieszyć procedurę. W efekcie cały proces zmieści się w tym samym czasie, ale status prawny dziecka zostanie uregulowany.

- I na pewno nie potrwa to dłużej niż samo staranie się o adopcję? I czy dostanę tę opiekę?

- Powinno to potrwać nawet krócej, bo fakt, że będzie pani jej prawną opiekunką, jest w tej sprawie dodatkowym atutem. A co do opieki prawnej, nie ma dyskusji. Jest pani jej najbliższą krewną i nikt inny nie występuje z takim wnioskiem.

- Tylko że ja nastawiłam się już na adopcję.

- To pani decyduje, ja jedynie radzę. Przygotowałem dwa komplety dokumentów. Chciałbym jeszcze dodać, że jest pani świeżo po rozwodzie. Sąd w sprawie adopcyjnej może to uważać za okoliczność niesprzyjającą, a już z pewnością będzie chciał dociec powodów rozwodu.

- Janusz! Powiedz mi, co mam robić! - zwróciła się z rozpaczą w oczach i pełnym zaufaniem do człowieka, którego znała zaledwie trzy dni.

- Zrób, jak radzi Stefan - odparł pospiesznie, chociaż przyrzekł sobie nie podejmować za nią decyzji. - Jako prawna opiekunka Matyldy masz większe szanse na adopcję.

- A jak długo będzie trwało pierwsze postępowanie?

- Przeprowadziłem wstępne rozmowy. Normalnie trwa to miesiąc, teraz może trochę dłużej, bo jest okres wakacji. - Adwokat rozłożył na biurku dokumenty. - Jeżeli chce pani mieć trochę czasu do namysłu, możemy odwlec sprawę o jakiś tydzień.

- Nie! To nie ma sensu. - W tym momencie była już zupełnie zdecydowana. - Zrobię, jak mi radzicie. To co mam podpisać?

Potem spędzili jeszcze kilka godzin w mieście, chodząc po sklepach. Kupienie bawełnianych koszulek w różnych rozmiarach i jednakowym kolorze okazało się niemożliwe. W końcu Elżbieta wpadła na najprostsze rozwiązanie: kupiła po dziesięć białych koszulek, farby do bawełny i kalkomanie do tkanin. Pamiętała też o szamponie dla psów. Janusz patrzył na nią pobłaźliwie, gdy grzebała w stosie drukowanych fartuszków kuchennych, by wybrać z nich w końcu dwa dla cioci Zofii. Koło południa wrócili wreszcie do samochodu. Elżbieta z ulgą wtuliła się w fotel. Janusz upchnął torby do bagażnika, wsunął się za kierownicę, zapiął pas i jeszcze przez chwilę obracał w ręku kluczyki do samochodu. W końcu zwrócił się do niej:

- Musisz mi wybaczyć, że się wtrąciłem. Ale to było silniejsze ode mnie.

- Pomogłeś mi podjąć decyzję. Nie powinieneś mieć do siebie pretensji. Zresztą o co?

- Bałem się, że możesz pomyśleć... Widzisz, gdybyś się zdecydowała wyjść za mnie, to adopcję możemy załatwić jako małżeństwo.

Elżbieta spojrzała na niego uważnie. Rzeczywiście, to nie przyszło jej do głowy. Wzruszyła ramionami, chcąc zamaskować uczucie, które łączyło się z tą perspektywą. Janusz, ona i Matylda jako rodzina. Nie wyglądało to źle. Więcej, była to niezmiernie pociągająca wizja przyszłości.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Lustro toaletki odbijało jakąś obcą twarz. Elżbieta patrzyła zdumiona. Przecież to tylko dwa tygodnie. Skóra pokryta równą, złotawą opalenizną. Znikły cienie pod oczami i bruzdy wokół ust. Jakby ich nigdy nie było. Włosy pasmami zjaśniały od słońca i zrobiło się ich więcej. Od lat tak dobrze nie wyglądała. Od lat tak dobrze się nie czuła. Sięgnęła po pędzelek i zaczęła nakładać na powieki turkusowy cień. Rzęsy były długie i gęste, właściwie nie musiała ich malować. Zielona sukienka z indyjskiej bawełny, przetykana złotą nitką, nigdy jeszcze nie prezentowała się tak świetnie, harmonizując z odmłodniałą twarzą i złocistą skórą ramion. Żeby tylko pozbyć się tego ściskania w dołku, tej podświadomej obawy przed spotkaniem z ludźmi, którzy dobrze znali Janusza, panią Zofię i Matyldę, którzy być może znali również Irenę.

Przez te dwa tygodnie niczego się o Irenie nie dowiedziała. Bogiem a prawdą nawet nie próbowała. Nie miała na to czasu. Całymi dniami zajmowała się dzieckiem. Karmiły kury i króliki. Tresowały Dina, zresztą zupełnie bezskutecznie. Chodziły do lasu na poziomki, maliny i jagody. Malin było tyle, że zrobiła konfitury według przepisu babci. Nawet pani Zofia je pochwaliła, chociaż wcześniej uważała, że maliny nadają się wyłącznie na sok. Elżbieta zawiozła dwa razy małą nad morze, co zresztą nie było dobrym pomysłem. Bała się, by nie uszkodzić cennego samochodu, i jechała wolno, a dziecku droga strasznie się dłużyła. W końcu to ponad godzinę w jedną stronę. Matylda była znacznie szczęśliwsza, pluszcząc się nad jeziorem, koło domu. Czuła się w wodzie jak ryba, więc Elżbieta uczyła ją pływać. Czasem po południu dołączał do nich Janusz i wtedy sama mogła wypłynąć daleko w jezioro. Zawsze lubiła pływać, ale nigdy nie czuła takiej radości jak tutaj, gdzie żaden brzeg basenu jej nie ograniczał. Odpowiadała na niezliczone pytania i sama musiała się wiele od dziecka nauczyć. Nie znała przecież wsi i nie miała pojęcia o takim życiu. „Pani z miasta” mówiła o niej Zofia z przekąsem i miała rację. Codziennym zwyczajem stały się wieczory spędzane z Januszem przy herbacie i kieliszku wina dla niej, a lampce koniaku dla niego. Opowiadali sobie nawzajem, jak spędzili dzień, oglądali program telewizyjny. I tylko nigdy nie wrócili do tej pierwszej rozmowy. Janusz obiecał, że nie będzie naciskał, i dotrzymał słowa. Pomimo to czuła się pod presją. Adwokat zapewniał, że kwestia prawnej opieki

nad Matyldą zostanie załatwiona w ciągu miesiąca i Elżbieta będzie mogła ją ze sobą zabrać. Tak łatwo nawiązała kontakt z dzieckiem, z każdym dniem Matylda bardziej stawała się jej wymarzoną córeczką. Kochała ją. I dlatego z coraz większą obawą myślała o wyjeździe. Jak mogłaby zabrać małą od człowieka, którego dziecko kochało i uważało za ojca? Czy Matylda, wychowana wśród przyrody, będzie się dobrze czuła w zadymionym mieście? I co zrobić z tym kundlem, który nie opuszczał jej ani na krok? Zostawić go tutaj? Będzie za nim tęsknić. Zabrać go do kawalerki na szóstym piętrze? Nie do pomyslenia. A zresztą do czego miała wracać? Przecież była bez pracy. Z czegoś musiałaby utrzymać siebie i dziecko. Poza tym czuła się tu cudownie. Rozległy, przestronny dom. Cudowne powietrze. Przestrzeń. Przyroda. I spokój. W zasadzie nie było powodu, by nie przyjąć propozycji Janusza. Niepokoili ją tylko koncepcja małżeństwa z rozsądku, bez miłości. Ale przecież małżeństwo z miłości miała już za sobą. I zakończyło się klęską. Pozostawał do omówienia tylko jeden problem. I on nie dawał jej spokoju.

Byli przecież jeszcze rodzice. Dzwoniła do matki dwa razy i zawsze po takiej rozmowie czuła się zdenerwowana i roztrzęsiona. Matki nie można było przekonać, że Elżbieta nie została uwięziona w zbójckiej jaskini, oszukana i do tego poddana praniu mózgu. Za każdym razem miała zamiar dzwonić na policję lub oddać córkę pod dozór psychiatry. Jak zareaguje na wiadomość o ślubie? A jak tę wiadomość przyjmie Zofia, która ciągle patrzy na nią podejrzliwie? Jakby Januszowi działa się jakaś krzywda.

Pukanie do drzwi sprowadziło ją na ziemię.

- Elżbieto! Jesteś gotowa? Mogę wejść?

- Wejź! Coś się stało? - zapytała, bo Janusz zatrzymał się w progu i przyglądał się jej bez słowa, przesuwając wzrokiem po szczupłej sylwetce w złoto-zielonej sukni. Od spiętych na czubku głowy w wymyślny kok włosów, do pomalowanych beżowym lakierem paznokci u stóp, widocznych w wycięciu złotych sandałów.

- Fantastycznie wyglądasz. Jak wodna boginka kusząca rybaków, by ich pogrążyć w głębi jeziora.

- Jakie to poetyczne. - Parsknęła wymuszonym śmiechem, usiłując zlekceważyć wyraźny zachwyt w jego głosie. Nie chciała, żeby zauważył, jak wielką sprawił jej przyjemność. - Ale chyba nie dlatego przyszedłeś, żeby mi to powiedzieć.

- Niestety. Sprawa jest bardziej prozaiczna i niezwykle poważna. Zofia szaleje po kuchni, bo stało się coś strasznego. Nie powiedziała mi co, bo podobno się na tym nie znam. Mojej matki i siostry nie ma, dopiero jadę po nie na dworzec. Zejdź na dół i spróbuj coś zaradzić, dobrze?

- Już idę! - Przypięła jeszcze kolczyki, cienki łańcuszek zawiesiła na szyi i zbiegła po schodach. Zofia rzeczywiście ciskała się po kuchni. Matylda przycupnęła cichutko na krześle przy oknie, a Dino skulił się pod stołem. Starali się nie odzywać i zajmować jak najmniej miejsca. Elżbieta mrugnęła do dziecka i rzuciła jej teatralnym szeptem:

- Kasetę z „Piękną i bestią” jest w magnetowidzie. Moglibyście to sobie jeszcze raz obejrzeć.

Mała zsunęła się z krzesła i razem z nieodłącznym kundlem zniknęła w salonie. Po chwili słychać było ścieżkę dźwiękową filmu. Elżbieta zwróciła się do rozsierdzonej kobiety.

- Ciociu Zosiu, co się stało?

- A majonez. To się stało. Od lat kupuję ten sam. A tu co? Oliwa osobno, a ten biały muł osobno. I co ja teraz zrobię? Zawsze dwunastego lipca, na imieniny Janusza, była jarzynowa sałatka, jajka w majonezie i faszerowane majonezem pomidory. Jak ja się ludziom na oczy pokażę?

Elżbieta sięgnęła po fartuch wiszący na drzwiach kuchni.

- Nie ma problemu. Jajka są. Ocet, oliwa i musztarda też. Za dziesięć minut będzie majonez.

- Ale bo to niby takie proste. Sama próbowałam i ciągle mi się warzy.

- Ten się nie zwarzy. Przepis mojej babci jest niezawodny. Tak jak ten na malinowe konfitury.

- Jak tak mówisz... W końcu stać nas na stratę paru jajek. Co ci potrzebne?

- Kamionkowy garnek, trzepaczka, jajka, ocet, oliwa i musztarda. No i miejsce przy piecu.

- Ile jajek?

- A ile słoików majonezu trzeba?

- Wystarczą trzy.

- To sześć, powiedzmy siedem jajek.

Elżbieta wbiła jajka do garnka. Dodała siedem łyżeczek octu i rozbiła wszystko dokładnie. Potem postawiła garnek na elektrycznej płytce i ubijała tak długo, póki rozmacone jajka nie zmieniły się w gęstą, galaretowatą masę. Zestawiła garnek z ognia i ubijała dalej, dolewając oliwy. Cały czas obawiała się, czy akurat tym razem babciny przepis jej nie zawiedzie. Nic takiego się nie stało. Majonez wyszedł gęsty i puchaty. Odwróciła się do pani Zofii, która bez słowa wpatrywała się w nią z wyraźnym zainteresowaniem i zdumieniem na twarzy.

- Teraz sól i musztarda. Tylko jaki ma być? Ostry czy łagodny?

- No... taki w sam raz.

- Dobrze. - Wrzuciła trzy łyżeczki musztardy i pół łyżeczki soli, ubijała jeszcze przez chwilę. - Proszę. Może być taki?

- To niemożliwe! - Zofia była bezgranicznie zdumiona. - Lepszy niż sklepowy. Musisz mi to jutro drugi raz pokazać. A swoją drogą, ty umiesz gotować?

- Umieć - odparła Elżbieta, wkładając trzepaczkę do zlewu. - I nawet bardzo lubię.

- A ja myślałam, że panie z miasta to ino po tych restauracjach i innych barach się stołują.

- Jak kogoś na to stać... Mnie nie. Trzeba jeszcze coś pomóc?

- To może polej te jajka majonezem, a ja wymieszam sałatkę i wezmę się za pomidory.

W zupełnej zgodzie kończyły przygotowywać przyjęcie. Elżbieta połała jajka majonezem, a potem wycinała z pomidorów, ogórków i rzodkiewek przeróżne gwiazdki, różyczki, kółka i trójkąty i ozdabiała nimi półmiski, ustawione na wielkim stole w ogrodzie. Zofia kręciła w podziwie głową.

- Takie głupie, a takie ładne. Sama bym na to nie wpadła. A tort też umiesz ubrać?

- Czemu nie. To dla Janusza?

- No przecież jego imieniny. - Zofia wyjęła z lodówki tort, równo oblany czekoladową polewą. - Zrobisz z tym co?

- Trochę jasnego kremu albo bitej śmietany się znajdzie? I jak by co nieco bakalii?

- Tu masz krem. Zostawiłam dla Matyldy, ale się obeńdzie. Orzechy są i skórka pomarańczowa. Będzie dość?

- Starczy.

Elżbieta pieczołowicie zajęła się ozdabianiem tortu. Jasne kleksy kremu. Połówki orzecha. Wycięte ze skórki pomarańczowej gwiazdki. Tak bardzo się starała, że nie usłyszała podjeżdżającego samochodu ani otwierania drzwi. Drgnęła dopiero, gdy ktoś zajrzał jej przez ramię.

- Jakie to śliczne. W najlepszych poznańskich cukierniach nie umieją tak ozdabiać tortów. Ciociu Zosiu, skąd wzięłaś taką artystkę?
- pytała uśmiechnięta szeroko dziewczyna, nieco młodsza od Elżbiety. Janusz opierał się o futrynę drzwi, radośnie rozpromieniony. U jego boku stała siwowłosa kobieta, do której był niezwykle podobny.

- Elżbieto, pozwól. To moja mama, a to moja siostra, Krystyna. Mamo, Krysiu, to Elżbieta, siostra Ireny.

W tym momencie uśmiech znikł z twarzy matki Janusza i jego siostry. Elżbieta poczuła, że robi jej się zimno. Rozwiązała fartuch i powiesiła go na drzwiach. Musiała stąd wyjść. Musiała natychmiast wyjść. Co ty zrobiłaś, Ireno!

Przyjęcie trwało w najlepsze, a Elżbieta snuła się pomiędzy gośćmi, z kieliszkiem wina w ręku i przyklepionym uśmiechem na twarzy. Nie czuła się dobrze i nie miała odwagi uciec. Ciotka Zofia, matka Janusza i jego siostra pełniły honory domu, a ona czuła się tu obca i nikomu niepotrzebna. Miała zamiar zająć się Matyldą, ale ta wraz z trójką dzieci mniej więcej w jej wieku świetnie się bawiła. Elżbieta zawróciła w kierunku domu, już prawie zdecydowana zniknąć w swoim pokoju. Mężczyzna, na którego wpadła, wyglądał co najmniej dziwnie. Przyszedł na przyjęcie we flanelowej koszuli w jaskrawą kratę i w wytartych dżinsach. Ale to nawet tak bardzo nie raziło, w końcu w taki upał nikt nie paraduje w garniturze. Zaskoczyła ją jego sylwetka, miał co najmniej dwa metry wzrostu, posturę niedźwiedzia i gęstą, przystrzyżoną brodę.

- A! To pani jest tą osobką, której się udało wykąpać Dina i obłaskawić dzikiego kota.

- Dino wykąpał się sam, ja go tylko polałam szamponem. A kot robi zawsze co chce. - Nie mogła się do niego nie uśmiechnąć.

- Lekceważy pani własne osiągnięcia. Zwierzęta są szczerze i wiedzą, komu ufać. Do tego wróble mi powiedziały, że uratowała pani dzisiejsze przyjęcie i artystycznie ozdobiła tort. Mnóstwo ludzi chce panią poznać.

- Mnóstwo ludzi nie chce mnie znać, bo jestem siostrą Ireny. Pewnie tego panu wróble nie powiedziały?

- Wróble nie. Ale dużo wcześniej jaskółki.

- I co?

- I nic. Lis i pies też należą do tej samej rodziny, ale niech pani spróbuje oswoić lisa. Dla mnie siostra Ireny jest tylko, a może aż, Elżbietą. Zresztą ja mam podobno hyzia na punkcie zwierząt i wiem, a innym trzeba to udowodnić. Idziemy?

- A kim pan właściwie jest?

- Przepraszam za brak dobrych manier. Najczęściej nie wychodzę z obory i to chyba dlatego. Marek Lipski, wspólnik Janusza.

Ten człowiek nie wydawał się groźny i na dodatek odnosił się do niej przyjaźnie. Elżbieta dała się prowadzić w kierunku skupionych w grupkach ludzi. Byli już w połowie drogi, kiedy Janusz wyszedł jej naprzeciw.

- Nareszcie jesteś. Ktoś musi pokroić tort. Ja nie potrafię.

- Może ciocia Zosia albo twoja matka? - Elżbieta nie miała zamiaru stać się ośrodkiem zainteresowania.

- Mowy nie ma. Ty go ozdobiłaś, to teraz ty podzielisz. Ja mogę nakładać na talerzyki. - Zaprowadził ją do stołu i włożył w rękę nóż. Kroiła tort, nie podnosząc głowy. Janusz rzeczywiście roznosił talerzyki, a kiedy już wszyscy dostali swoje porcje, wrócił do niej i nie odstępował jej na krok. Przechodził z nią od jednej grupki gości do drugiej, zamieniając z ludźmi niewiele znaczące zdania. Wysoka, postawna blondynka uściśnięła jej wylewnie dłoń.

- Cieszę się, że panią widzę. Etat na panią czeka. To co prawda tylko osiem godzin chemii, ale myślę, że z fizyką i biologią też pani sobie poradzi.

- Ale ja jeszcze nie podjęłam decyzji!

- Nic nie szkodzi. Poczekam. W końcu szkoła na prowincji ma zawsze trudności ze zdobyciem wykształconej kadry. Odkąd zostałam dyrektorką, mam ciągle ten sam problem. I tak ktoś tej chemii będzie musiał uczyć. No to na zdrowie. - Podniosła szklanekę wypełnioną wódką z plasterkiem cytryny. Elżbieta uśmiechnęła się z przymusem i podniosła swój kieliszek, niemal zupełnie pełny. Wino było już ciepłe. Janusz poprowadził ją do zaimprovizowanego barku i nalał nowy kieliszek wina.

- Nie będziesz piła kompotu. Twoje wino jest tylko wtedy dobre, kiedy jest odpowiednio schłodzone.

- Jesteś pewien, że to pani robi jakąś różnicę? - Męski głos, który rozległ się za nią, był jakiś dziwnie ostry. Wyraźny akcent i precyzyjna wymowa głosek sprawiały wrażenie czegoś nienaturalnego. Szczupły blondyn o typowo skandynawskiej urodzie i błękitnych, przezroczystych oczach patrzył na nią wyraźnie niezyczliwie. Miał na sobie popelinowe spodnie i bawełnianą koszulę, a mimo to sprawiał wrażenie, jakby był w trzyczęściowym garniturze.

- Jerzy! - Janusz był w oczywisty sposób zdenerwowany. - Prosiłem, bez takich uwag!

- A czy ja coś powiedziałem? - Uniósł do góry obie ręce. - Jeśli tak, to przepraszam.

- Pozwól, to jest Elżbieta.

- Siostra Ireny, wiem. Zewnętrznie wcale nie jest do niej podobna. Ale wiesz, stary, w środku wszystkie te lalki mają to samo, pustkę zamiast serca.

- Zachowujesz się niegrzecznie.

- Wybacz. Miałbym ci parę rzeczy do powiedzenia, ale ty tak nie posłuchasz, prawda?

Elżbieta stała jak skamieniała. Nie była pewna, w jakim stopniu rozmowa dotyczy jej, była natomiast przekonana, że ma coś wspólnego z Ireną. Musi wreszcie poprosić Janusza, żeby powiedział jej prawdę. Miała dość tych wszystkich uwag, niedomówień, aluzji. Nie wiedziała, jak na nie reagować, nie mogła z nimi polemizować. Otwarta niechęć wszystkich ludzi była przerażająca. Znowu poczuła, że grunt usuwa jej się spod nóg. Zdażyła wypić tylko pół kieliszka wina, a kręciło jej się w głowie. Nagle drobna rączka zacisnęła się na jej dłoni.

- Ciociu! Położysz mnie spać? - Ogromne oczy Matyldy były szafirowe. - Wujek Marek zabiera Jasia i Małgosię, a ciocia Teresa Ewę i szuka wujka Jurka. I opowiesz mi bajkę na dobranoc? - Elżbieta przykucnęła i wyciągnęła ręce. Nie zauważyła, że Jerzy patrzy na nią zdziwiony spod przymrużonych powiek.

- Oczywiście, kochanie! - Przytuliła do siebie dziecko. - Musisz być bardzo zmęczona. Zaraz pójdziemy na górę. Pożegnaj ode mnie Marka. - zwróciła się do Janusza. - On jeden był dla mnie miły.

- A ja, ciocia?! A ja?! - zaszczębiotała Matylda przytulając się do niej mocno.

- Ty zawsze jesteś miła, słonko. - Elżbieta wstała trzymając dziecko w ramionach. - I za to cię kocham.

Nieodłączny Dino pobiegł za nimi do domu. Po pół godzinie Matylda spała mocno. Elżbieta patrzyła na nią z czułością. Obcięte teraz krótko włosy rozsypały się na poduszce. Długie rzęsy rzucały cień na policzki. Ścisnęła w ramionach Freda i oddychała przez półotwarte usta. Była taka śliczna i taka kochana. Elżbieta nie mogłaby jej skrzywdzić. Nawet jeżeli wszyscy ci ludzie na dole będą myśleć co innego. Drzwi otwarły się bezszelestnie. Wiedziała, że to Janusz stanął przy niej. Objął ją ramieniem. Stali tak chwilę razem, tylko patrząc, połączeni głęboką miłością do dziecka. „I niczym innym” - pomyślała Elżbieta, czując, jak coś ścisnęła jej serce. „I niczym więcej” - wyszeptał bezgłośnie Janusz, patrząc na wiotką sylwetkę dziewczyny.

- Chodź - powiedział bardzo cicho. - Musimy wrócić do gości.

- Ja nie muszę - odparła ostro, kiedy znaleźli się na korytarzu. Była zła i chciała, żeby to odczuł. - To twoje imieniny i twoi goście. Nikt mnie tam nie chce.

- To nieprawda. Ja chcę. I nie pójdę tam bez ciebie.

- Nie będę więcej robić z siebie idiotki. - Miała ochotę krzyknąć, ale przecież nie mogła obudzić dziecka. - Najwyższy czas, żebyś mi opowiedział o Irenie. Muszę wiedzieć, z czym mam walczyć.

- Dobrze. - Westchnął i przeciągnął dłonią po włosach. - Sam widzę, że nie ma wyjścia. Porozmawiamy, jak goście pójdą. A teraz chodź i pamiętaj, że jestem z tobą. Zrób to dla Matyldy. Proszę.

Ostatni goście wyszli koło jedenastej. Trzeba było jeszcze trochę posprzątać, zanieść naczynia do kuchni, schować resztki jedzenia do lodówki, butelki - do barku. Matka Janusza, Zofia i Krystyna zniknęły w swoich pokojach. A oni we dwoje usiedli w salonie na kanapie. Tym razem ze szklankami wody mineralnej w dłoniach, nie mieli ochoty na alkohol. Elżbieta wtuliła się w róg kanapy, Janusz siedział pochylony, obracając jak zwykle szklankę w dłoni. Milczeli. Tak trudno było zacząć rozmowę.

- Zakochałem się w niej, kiedy wsiadła do mojego samochodu. Po prostu zatrzymała mnie na drodze i przyjechała tutaj. Straciłem dla

niej głowę i myślałem, że ona też. Ale po trzech miesiącach po prostu sobie poszła.

- I nie mogłeś o niej zapomnieć?

- To głupie, prawda? Może bym w końcu zapomniał, ale ona wróciła. Była w ciąży. Byłem przekonany... nie, chciałem, żeby to było moje dziecko.

- Myślałeś, że ją zatrzymasz?

- Nie wiem. Chyba tak. Potem już chciałem zatrzymać tylko Matyldę. Ale ona nie dała mi tej szansy. Nie pozwoliła mi uznać dziecka. Ja je wychowałem, ale ona mogła mi je w każdej chwili zabrać.

- Korzystała z tego, jak się domyślam?

- Przyjeżdżała, kiedy chciała, i dostawała ode mnie, co chciała. Chodziła po domu wiecznie pijana, kazała sobie usługiwać.

- To dlatego wszyscy patrzą, ile i co piję? I ten koktajl ciotki pierwszego dnia też dlatego?

- Właśnie. Wieczorami jeździła do Koszalina, wracała taksówką, za którą musiałem płacić. Wyciągała pieniądze. Nawet nie próbowała kraść. Żądała, a ja dawałem.

- To były duże sumy?

- Najmniej straciłem wtedy, kiedy sprzedała mój samochód. Tak, to były duże sumy. Ale płaciłem, bo w przeciwnym razie mogła zabrać Matyldę.

- Ale przecież Matylda ją знаła?

- Powiedzmy. Zapytaj ją o panią Irenę. Może ją jeszcze pamięta. Chociaż dzieci szybko zapominają o obcych osobach.

- Panią!? Obca osoba!? Przecież była jej matką i chciała ją zabrać!

- Tak, obca pani. - Janusz bezradnie wzruszył ramionami. - I nie sądzę, żeby chciała ją zabrać. Matylda potrzebna jej była tu. Bo zawsze miała dokąd wracać i skąd wystartować.

- Ale kochałeś Irenę?

- Kiedyś byłem w niej zakochany. Zafascynowany. Zauroczony. To było sześć lat temu. Potem tylko nienawidziłem. Zrobiła z mojego życia piekło. Cały czas starałem się, żeby nie zrobiła tego Matyldzie.

- I pomimo to sprowadziłeś tutaj mnie? Jej siostrę?

- Nie miałem wyboru. To był jedyny sposób, żeby uchronić Matyldę przed domem dziecka.

- Przecież nie miałeś żadnej gwarancji, że będę inna niż Irena.
 - Miałem ci zaproponować pieniądze. Gdybyś była taka jak ona, powinnaś się zgodzić. W końcu to nie twoje dziecko. No i nie dostałabyś grosza bez podpisania zgody na adopcję.
 - Ale nie rozmawiałeś ze mną o pieniądzach.
 - Nie. Bo okazałaś się inna. I niczego bym tak z tobą nie załatwił, prawda?
 - Nawet się nie spodziewałam, nie sądziłam, że ona... że to było aż tak....
 - Czasem było jeszcze gorzej, zapewniam cię, ale nie mam ochoty opowiadać ci szczegółów. To ci musi wystarczyć.
- Siedział z pochyloną głową, ściskając cienką szklankę w mocnych, pokrytych odciskami dłoniach. Miała ochotę go pocieszyć, zapewnić, że nie zabierze mu dziecka, ale to nie był odpowiedni moment. Wyciągnęła rękę i dotknęła jego ramienia. Nie mogła się powstrzymać. Chciała przejechać dłonią po jego rozwichrzonych włosach. Wygładzić zmarszczki na twarzy. Sprowokować do uśmiechu. Janusz zerwał się jak oparzony, jego piwne oczy zrobiły się jeszcze bardziej ciemne, aż czekoladowe. Z rozmachem rzucił szklanką o ścianę.
- Nie lituj się nade mną! Nie potrzebuję twojej litości! Czego innego tak, ale nie litości!
- Drzwi zatrzasnęły się za nim z hukiem.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Matyldę słysząc było na schodach. Jej szczegółowe objaśnienia dotyczyły techniki kąpieli psa w jeziorze. Co chwilę opowieść przerywały wybuchy głośniego śmiechu. „Całe szczęście, że nie wyjaśnia, jak się ze mną łapie kury” - pomyślała Elżbieta, schodząc na dół po nieprzespanej nocy. W tej dziedzinie wykazała przecież zasadnicze braki w wykształceniu. Przy śniadaniu siedzieli już wszyscy oprócz niej. Kiedy wsunęła się do kuchni, zapadła niepokojąca cisza. Znowu poczuła się nieprzyjemnie, ale teraz przynajmniej wiedziała, jaki jest powód ogólnej podejrzliwości. Nie miała zamiaru się poddawać. Nie była Ireną, to oni powinni się przekonać, kim jest naprawdę. Matylda zerwała się od stołu i dopadła jej w progu.

- Ciociu Elu, co my będziemy dzisiaj robić, kiedy pada? Pochyliła się, by uściskać i ucałować małą. Wsunęła w spodnie brzeg sweterka i poprawiła szelki.

- Cóż, zawsze możemy wykapać kota albo wyłapać myszy - uśmiechnęła się do dziecka porozumiewawczo.

- To kot się powinien zajmować myszami, a nie wysypiać na łóżku - wtrąciła się z przekąsem pani Zofia. Elżbieta zaczerwieniła się po same korzonki włosów.

- A skąd ciocia wie?

- Ano jak pościel zmieniałam, tom sama rudymi kudłami oblazła. Już ty musi coś w sobie masz, że dzieci i zwierzęta do ciebie lgną. Siadaj na swoim miejscu, zaraz dostaniesz kawę z mlekiem.

Po chwili stała przed nią parująca filiżanka. Sięgnęła do koszyczka i posmarowała bułkę wiśniowymi konfiturami. Z przyjemnością ugryzła pierwszy kęs, konfitury pani Zofii były arcydziełem sztuki kulinarnej. Od śmierci babci takich nie jadła.

- Nie pijesz czarnej kawy? - zdziwiła się Krystyna.

- To taki wewnętrzny kompromis. Uwielbiam czarną kawę, ale trochę mi szkodzi na żołądek. Z drugiej strony wiem, że rano powinnam pić mleko. Zresztą już się przyzwyczyłam.

- W ogóle łatwo się przyzwyczajasz? - Z tonu, którym matka Janusza zadała to pytanie, przebijało jakieś złośliwe zainteresowanie.

- Nie rozumiem. - Elżbieta spojrzała na nią ze zdziwieniem. Janusz natychmiast zareagował.

- Mamo! Prosiłem cię!

- No wiesz - kontynuowała niezrażona kobieta - bo niektórym przychodzi to bez trudności. Papierosy, alkohol i te rzeczy.

- A ty coś się tak czepiła dziewczyny! - Pani Zofia odstawiła z hukiem garnek do zlewu. - Elżbieta nie pali, a wódka jej szkodzi. Nie wtykaj nosa, gdzie nie trza.

- Ależ, Zofio! Chyba mam prawo dowiedzieć się czegoś o kobiecie, która zabiera mi wnuczkę.

- Mamo, stanowczo przesadzasz - Janusz wyraźnie zamierzał skończyć tę dyskusję. - Elżbieta nie musi ci nic wyjaśniać.

- Daj spokój. - Elżbieta delikatnie dotknęła jego ramienia. - Wiesz, że powinnam. W tej sytuacji nie mam wyjścia.

- Widzisz! - Starsza pani była bardzo zadowolona z siebie. - Ona się zgadza.

- Nie sędzę. Tylko ciebie nic nie powstrzyma, prawda? Pani Czertwiakowa wzruszyła ramionami i zwróciła się do Elżbiety.

- Jesteś mężatką?

- Nie. Rozwiodłam się rok temu.

- Tak po prostu go rzuciłaś? - zainteresowała się Krystyna.

- Nie całkiem, to Ryszard... mój mąż, doszedł do wniosku, że nie ma dla nas przyszłości.

- Musiałaś mu nieźle zaleźć za skórę, jeżeli cię zostawił - Krystyna była wyraźnie zadowolona, że mogła wtrącić swoją uwagę. - Mówiłaś, że po ilu latach?

- Nie mówiłam. - Elżbieta wpatrywała się w Matyldę, która znudzona rozmową dorosłych przykucnęła w kącie obok Dina. Zupełnie bezskutecznie usiłowała go nakarmić kawałkami bułki z miodem. Pies odwracał głowę, ale dziecko było nieustępliwe. W końcu ze wstrętem zaczął przeżuwać kawałek bułki i, korzystając z chwilowej nieuwagi małej, dyskretnie go wypluł. Za chwilę dostał następny kawałek. Z wyrazem nieopisanego cierpienia zamknął pysk. Nie mogła oderwać wzroku od dziecka. Przeczuywała intencję następnego pytania i nie wiedziała, czy będzie miała siłę na nie odpowiedzieć. - Ale to trwało osiem lat.

- Nie mieliście dzieci?

- Najpierw Ryszard nie chciał. A potem... urodziłam martwe dziecko. Dziewczynkę. - Elżbieta wstała od stołu, zostawiając nietkniętą filiżankę i bułkę na talerzyku. Podeszła do drzwi. Odwróciła się jeszcze do skonsternowanych po jej słowach i

niezdolnych do żadnych uwag ludzi. - Prawdopodobnie nie mogę już mieć dzieci. I dlatego Ryszard się ze mną rozwiódł. - Pobiegła na górę i rzuciła się na łóżko. Nie miała siły płakać.

- No i co, mam? Teraz chyba jesteś zadowolona?

- Janusz... ja... nie spodziewałam się. Nie wiem, co mam powiedzieć. Myślałam... - Spojrzał na matkę, która w widoczny sposób straciła pewność siebie.

- Myślałaś, że to druga Irena, co? Możesz uważać, że jestem łatwowierny, ale trzeba było słuchać Zofii. Obserwowała ją przez dwa tygodnie. Ale nawet ona nie włączyła Elżbiecie z butami do duszy.

- Krysiu, musimy ją przeprosić. Rzeczywiście byliśmy zupełnie bezmyślnie.

- Mamo! Nie bezmyślnie. Wścibskie i niedelikatne. Chyba musimy pójść do niej na górę.

- Jasne! - Pani Zofia energicznie machnęła ścierką. - Lećcie ją jeszcze dobić. Niczego jej więcej teraz nie trzeba, tylko waszych litościwych przeprosin.

- Zofia ma rację, mam. - Janusz szukał na kredensie kluczyków. - Niech Elżbieta dojdzie do siebie. I proszę, zostawcie ją już w spokoju.

Matka wpatrywała się zupełnie bezmyślnie w spoczywające na stole dłonie. Widać było, że nie jest z siebie zadowolona. To prawda, że miała prawo bać się o Janusza i Matyldę, ale przecież należało pomyśleć i o Elżbiecie. Chciała ją zdemaskować za wszelką cenę, z góry założyła, że ma do czynienia z następną modliszką. Nie przyszło jej do głowy, że może trafić na kogoś zupełnie innego. Przypomniała sobie wyraz oczu Elżbiety, gdy mówiła o śmierci dziecka i porzuceniu przez męża. Ona podała tylko fakty, a ileż się za tym musiało kryć łez, nieszczęścia, zawiedzionych nadziei i niespełnionych pragnień. Sama była matką i gdyby straciła dziecko... Spojrzała na córkę, która właśnie wróciła do kuchni. Poszła włączyć Matyldzie telewizor. Dziecko z nieodłącznym kundlem pobiegło do salonu i tylko w miejscu, gdzie przedtem leżał pies, pozostało kilka kawałków wespółżutej bułki. Krystyna podeszła do brata i pogładziła go po ramieniu. Uśmiechnął się do niej i pocałował ją w czoło. Zawsze bardzo się lubili. Była zadowolona, że udało jej się tak dobrze ich wychować. Czy to możliwe, że Ireny się po prostu wychować nie dało? Tym większą krzywdę wyrządziła Elżbiecie. Czy można będzie

to jakoś naprawić? Zwróciła się do syna: - Janusz, a może ty byś z nią porozmawiał?

- Nie ma mowy! - powiedział sięgając po teczkę z dokumentami.

- Nawarzyłyście piwa, to radźcie sobie same.

- Wychodzisz gdzieś?

- Tak, do pracy.

- Przecież dziś jest niedziela.

- Oczywiście, mamo, tylko że to nie jest biuro. Pracujemy siedem dni w tygodniu. Poza tym dzisiaj mam podjąć decyzję na temat nowej linii produkcyjnej. Jurek z Markiem już na mnie czekają.

- Kiedy wrócisz?

- Będę na obiedzie. Zajmijcie się Matyldą, dobrze? Przechodząc przez sień zatrzymał się na chwilę. Wzrok jakby

sam powędrował w górę schodów. Tam na górze była Elżbieta. Sama w swoim pokoju. Pewnie znów siedzi w fotelu, z głową odrzuconą na oparcie, z zaciśniętymi pięściami i wyrazem pustki w poszarzałych oczach, tak jak w tamtą pierwszą sobotę. Tylko teraz musi czuć się jeszcze gorzej, bo pytania matki i uwagi Krystyny wywlekły to, co w jej życiu było najbardziej dotkliwą klęską. Miał ochotę wbiec tam chociaż na chwilę, na krótki moment i powiedzieć jej, że on nie ma żadnych wątpliwości, że wierzy jej, ufa i o nic nie podejrzewa. Wie, że nie była i nie jest podobna do Ireny. Może wtedy jej oczy znów nabrałyby głębokiej, zielonej barwy, a usta uśmiechnęłyby się radośnie jak wtedy, gdy bawiła się z dzieckiem i psem. Już kładł rękę na poręcz, kiedy zmienił zdanie. Może ona myśli o Ryszardzie, człowieku, który ją porzucił? Pewnie dlatego czuła się tak dotknięta. Musiała przyznać, że odszedł od niej ukochany człowiek. Poczul nagłą złość i wybiegł na zewnątrz. Zapuścił silnik i z piskiem opon odjechał spod domu.

Przez całą drogę prowadził zbyt szybko. Zdawał sobie z tego sprawę, ale nie mógł się opanować. Cały czas miał przed oczami obraz Elżbiety, gdy odwracała się w drzwiach kuchni. Opuszczone bezradnie ramiona, pobladła twarz i ten wyraz, jakby ją ktoś niespodziewanie uderzył. Dotarł do biur mleczarni po piętnastu minutach. Zwykle zajmowało mu to pół godziny. Dobrze, że w tę pochmurną niedzielę ruch na drodze był niewielki.

Wszedł do kantorka i rzucił teczkę na biurko. Jurek i Marek czekali na niego. W ciasnym pomieszczeniu ledwo mieściły się dwa

biurka, szafa pancerna i stół z komputerem. Jurek wyciągnął się na przechylnym krześle i opierając nogi na obdrapanym pulpicie, wertował jakieś papiery. Marek przysiadł na parapecie okna i wpatrywał się przed siebie. Trudno powiedzieć, czy jego wzrok przyciągały pasące się na pastwisku krowy, czy też kłębiące się w koronie dzikiej czereśni wróble. Powoli, jakby niechętnie odwrócił głowę i obrzucił Janusza uważnym spojrzeniem.

- Czyżby wczorajszy solenizant wstał dzisiaj lewą nogą? - zapytał z dobrodusznym uśmiechem.

- Wstałem prawą nogą. - Janusz nie mógł się nie uśmiechnąć do tego misiwatego olbrzyma. - Dopiero przy śniadaniu mi się odmieniło.

- Ciocia Zosia oblała cię kawą?

- Żeby. Moja matka i Krystyna urządziły przesłuchanie trzeciego stopnia i doprowadziły Elżbietę do łez.

- I tym się przejmujesz? - Jurek opuścił nogi na podłogę, wyprostował się na krześle i wbił w Janusza spojrzenie zimnoniebieskich oczu. - Mają rację. Lepiej, żeby ona teraz płakała niż dziecko kiedyś.

- Nie opowiadaj bzdur! - obruszył się Janusz.

- A niby skąd takie przypuszczenia? - Marek odwrócił się do wnętrza pokoju i oparł o ramę okna. - Matylda na pewno nie będzie płakać z powodu Elżbiety.

- Optymista! - Głos Jurka pobrzmiwał metalicznie. - Przecież ty w ogóle na ludziach się nie znasz. Rozmawiać umiesz tylko ze zwierzętami, a one rzadko kiedy kłamią. A może po prostu nie umieją zdradzać i wykorzystywać innych.

- Lis będzie ci wdzięczny za tę opinię i zgodzi się z tobą na pewno. - Marek uśmiechnął się ciepło. - A Elżbietę zostaw w spokoju, to dobra dziewczyna.

- Co, ty też masz klapki na oczach?! - rzucił Jerzy otwarcie już gniewnym tonem. - Jeden idiota ściąga ją tutaj, nie wiadomo po co. Najpierw chroni dziecko przed nieodpowiedzialną matką przez całe lata, a potem, kiedy mu już nie zagraża, sprowadza sobie na głowę jej siostrzyczkę. Jakby się prosił o kłopoty. A ten drugi, idealista jakiś, krowi filozof, raz na nią spojrzął i już wie, że to dobra dziewczyna.

Marek wzruszył ramionami, wyraźnie odrzucając wartość tego typu argumentów. Janusz wtrącił zmęczonym głosem:

- Nic innego nie mogłem zrobić.
- Mogłeś! Tłumaczyłem ci jak krowie na granicy. Zrobić badania potwierdzające ojcostwo. Jak nie będą jednoznaczne, założyć sprawę o adopcję. Masz ten świstek od Ireny, na szczęście bez daty. Masz kupę świadków, że dziecko jest pod twoją opieką od urodzenia.
- W ten sposób proces mógłby się ciągnąć latami, a Matylda trafiłaby do domu dziecka.
- A może nie. I w końcu byś ją stamtąd wyciągnął. I nie byłaby ci potrzebna następna infantylna dzierlatka. Człowieku, przecież to jej siostra. To czego się po niej spodziewasz?
- To ty gadasz bzdury. - Wyprowadzony z równowagi Marek podniósł głos. - Widziałeś, jak się opiekuje małą? Jak dziecko do niej się przywiązało? Zwierzęta jej ufają i nie boją się jej. Mówię ci, niedowiarku: to wspaniała dziewczyna.
- O ile pamiętam, to ten masochista sześć lat temu z pełnym przekonaniem mówił to samo o Irenie. Zapatrzony był w nią jak w słońce. I co ta wspaniała dziewczyna z nim zrobiła?
- To ja ci jeszcze przypomnę - Marek powoli cedził słowa, wyraźnie już wyprowadzony z równowagi - że ja się wtedy z tobą zgadzałem.
- Wystarczy - Janusz postanowił przerwać tę bezsensowną dyskusję. - Jeden wierzy w Elżbietę, drugi ma obsesję Ireny. Nie potrzebuję waszych rad. Ja wiem, jaka ona jest, i nie muszę się nad tym zastanawiać.
- Wiesz?! - Jurek roześmiał się sarkastycznie. - A niby skąd? Znasz ją ledwie dwa tygodnie.
- Wiem o niej wszystko od okresu studiów.
- Kazałeś ją sprawdzić?
- Właśnie. I słono mnie to kosztowało.
- A czego się właściwie dowiedziałeś? - Jurek był wyraźnie zainteresowany. - Co to za fakty cię do niej przekonały?
- Tego ci nie powiem, bo to jej prywatne sprawy. Z pewnością by tego sobie nie życzyła. A ja nie życzę sobie, żeby się dowiedziała, że ja coś wiem, jasne?
- Skoro tak. Ale pozwolisz, że ja pozostanę sceptyczny.
- A mnie - Marek klepnął Janusza po ramieniu z taką siłą, że ten aż się pochylił - nie musisz przekonywać. I radzę ci, zatrzymaj je obie.

- No to może odczepicie się od moich prywatnych spraw i przystąpimy o rzeczy. Obiecałem wrócić na obiad, a matka z Krystyną dzisiaj wyjeżdżają. Więc co robimy?

Jurek rozłożył na biurku dokumenty wydruki z komputera. Wszyscy pochylili się nad gęsto zapisanymi kartkami.

- Przygotowałem kalkulację. Wygląda nieźle.

- Stać nas na taką inwestycję? - zaniepokoił się Marek.

- Gdybyśmy mieli poprzestać na własnych zasobach i pożyczce inwestycyjnej, byłoby nam ciężko i ryzyko byłoby zbyt wielkie. Ale dostaniemy dotację z funduszu na rozwój przedsiębiorczości rolniczej, a Holendrzy dają nam zniżkę w ramach pomocy dla rolnictwa w Europie Wschodniej. Fundusz do walki z bezrobociem też możemy wykorzystać. W sumie nie obciąża nas to niebezpiecznie. Oczywiście pozostaje kwestia surowca i zbytu. To już wasza dziedzina, panowie.

Marek wyciągnął z kieszeni spodni kilka pomiętych, wielokrotnie poskładanych kartek. Rozłożył je starannie na stole i usiłował wygładzić dłonią, ale i tak wyglądały, jakby je wyjął z kosza na śmieci.

- Cholera, Maria miała rację, że pozwoliła mi zabrać tylko kopie. Znowu mi się wszystko pogniotło.

- Dobrze, że ci krowy tego nie zjadły.

- One mi zaglądną wyłącznie do górnych kieszeni. No więc tak. Mamy pewne rezerwy mleka, ale niewystarczające. Możemy skupić, ile trzeba, tylko chodzi o jakość. Znalazłem pięć gospodarstw, gdzie mają holenderki albo krzyżówkę rasy holenderskiej z polską. Chętnie będą współpracować. Musimy im dać trochę więcej niż w skupie w Manowie. Ale w sumie to się opłaci. Są gotowi przystąpić do współpracy w ciągu miesiąca. A ty, Janusz, co masz dla nas?

- Dwie hurtownie w Kołobrzegu, jedną w Koszalinie, Szczecinie i Gdańsku. Edam w kulistych formach chętnie kupią u nas niektóre restauracje. To nie są duże ilości, ale niezła reklama. Potwierdzone zapotrzebowanie wygląda tak: - Rzucił na stół plik połączonych spinaczem kartek. - Dwadzieścia procent sera najwyższej jakości, reszta gatunek ogólnospżywczy.

Przez chwilę panowała cisza. Marek wrócił na swoje miejsce na parapecie okna. Janusz stał pochylony nad stołem, przebiegając wzrokiem po rozrzuconych dokumentach. Nie bardzo jednak mógł się na nich skupić. Najchętniej zostawiłby to wszystko, wybiegł stąd,

wsiadł w samochód i wrócił do domu zobaczyć, jak się czuje Elżbieta. Sprawdzić, czy nikt jej nie dokucza i nie wtrąca się w jej sprawy. Czuł nieodpartą konieczność chronienia jej przed ludźmi i złośliwymi plotkami. Zupełnie bezmyślnie patrzył na migające po klawiaturze komputera palce Jurka i nawet nie starał się zrozumieć, czego dotyczą widoczne na ekranie kolumny cyfr. Chciał tylko poznać wynik tych obliczeń, podjąć decyzję i wrócić natychmiast do Elżbiety. Wrócić do Matyldy. O czym on właściwie myśli, przecież to dziecko było najważniejsze. Wreszcie palce Jurka przestały tańczyć po klawiszach. W napięciu czekali na jego opinię.

- Nie jest źle, panowie. Przy zatrudnieniu nie przekraczającym dwudziestu osób, po wliczeniu kosztów adaptacji budynków, zakupu surowca i transportu, od trzeciego miesiąca mamy już czysty zysk.

- No to jak? - Marek oderwał wzrok od wróbli na czereśni. - Wchodzimy w to?

- Jestem za - Jurek delikatnym ruchem pogładził i tak porządnie uczesane włosy. - Ty, Janusz?

- Akceptuję.

- Marek?

- Ja się na tym nie znam. Wasza decyzja to moja decyzja.

- Dobra - Jurek zaczął porządkować dokumenty i w pedantycznym porządku układał je w teczce. - Jutro jadę do Warszawy. Powinienem załatwić wszystko w ciągu tygodnia. Wstępną decyzję będziemy mieli z początkiem sierpnia.

- To znaczy za tydzień, dwa muszę jechać do Holandii? - Janusz nie miał na to najmniejszej ochoty. Czyżby nie chciał zostawić Elżbiety? Starał się, by nikt nie odczytał niechęci w jego głosie, ale jednak Jurek musiał coś wyczuć, bo dodał:

- Marek nie pojedzie, bo musiałyby wozić tam i z powrotem swoje ukochane krowy. Zresztą to ty się dogadałeś z tym Holendrem, nie?

- Zejdź z moich krów. - Marek postanowił wreszcie opuścić okienny parapet. - Bo z nich żyjesz, i to dobrze. Jak mi nadepniesz na odcisk, to rób sobie ser z ptasiego mleka. Skoro skończyliśmy, idę do obory. Honorata powinna się lada chwila ocielić.

- I znowu nie dasz zarobić weterynarzom. - Janusz nawet się roześmiał. - To ja też znikam. Matka i siostra wracają dzisiaj do domu.

- A leć i to chybko! - Marek uśmiechnął się dobrodusznie.

- Matka i siostra się bez ciebie obejda, ale Elżbieta!

- Wcale nie chodzi o Elżbietę!

- Jeszcze nie? A może po prostu tego nie wiesz? Jak nie dziś, to powinno ci o nią chodzić jutro. Chyba że jesteś takim głupcem, za jakiego cię uważa Jurek.

Szosa była zupełnie pusta, ale Janusz jechał ostrożnie. Wystarczająco ryzykował rano. I tak nie zdąży, jest już prawie pierwsza w nocy. Elżbieta dawno poszła spać. Przez całe popołudnie nie miał okazji z nią porozmawiać, ani przez chwilę nie mogli zostać sami. Cały dzień spisany na straty. Powinien ją przeprosić za swój wczorajszy wybuch, za zachowanie matki i Krystyny. Ze zdziwieniem zauważył, że obie jego panie jakoś się z Elżbietą dogadały. Może nawet za dobrze, bo spóźniły się na pociąg i musieli na dworcu czekać na następny. Dlatego zamiast o dziesiątej, tłukł się samochodem dobrze po północy. Z przykrością myślał, że zobaczy ją dopiero jutro. Nie siądną obok siebie na kanapie w salonie, nie naleje jej ulubionego wina, nie usłyszy o zabawie z Matyldą i innych wydarzeniach dnia. I sam jej nie opowie o podjętych dzisiaj decyzjach. Nie powiedział jeszcze o tym nikomu. Tak bardzo chciał, żeby ona dowiedziała się pierwsza. „Ale to dopiero jutro” - myślał, zamykając bramę. Podjechał pod garaż i zaparkował samochód. Starał się nie trzaskać drzwiami i ledwie kątem oka dostrzegł światło w oknach salonu. Elżbieta?! Czy to rzeczywiście możliwe? Prawie biegiem minął sień i szarpnął drzwiami. Siedziała skulona w kącie kanapy, z podwiniętymi nogami, taka krucha i delikatna.

Czekała! Chciał coś powiedzieć, ale głos uwiązł mu w gardle i stać go było tylko na banalne:

- Jeszcze nie śpisz?

- Czekałam na ciebie.

- Jest już bardzo późno.

- Musimy porozmawiać. Dzisiaj.

Janusz poczuł, że brakuje mu tchu. Więc postanowiła. Nie miała zamiaru czekać do końca sierpnia. Po tym jak ją tu traktowano, nie mógł mieć pretensji, że postanowiła wyjechać. Powoli podszedł do barku.

- Nalać ci wina? - Czuł, że musi się napić. - Marzyłem o kropli koniaku.

- Ja też mam ochotę na wino.

- To czemu sobie nie nalałaś?

- Przecież wiesz! - Wyraz jej twarzy mówił sam za siebie.

- Chyba żartujesz! To nie miało prawa cię powstrzymać. - Pochylił się nad nią podając kieliszek. Przez moment zastanawiał się, jakich perfum ona używa. Zapach był delikatny, fascynujący. Rozpoznał w nim aromat lawendowego płynu do kąpieli, zapach mydła toaletowego, ziołowego szamponu, ale to jeszcze nie było wszystko. Zapach Elżbiety. Oszłamiający i zniewalający zapach Elżbiety. Poczul nagły ból w sercu na myśl, że już jutro, za kilka dni zniknie z jego życia. Rozumiał zresztą, że po wczorajszej rozmowie z nim i dzisiejszym starciu z matką i siostrą nie będzie chciała postąpić inaczej. Usiadł w drugim kącie kanapy, obejmując dłońmi koniakówkę. Musiał się powstrzymać, by nie wyciągnąć ręki i nie dotknąć jej twarzy.

- No więc proszę! Mów! Skończmy z tym od razu. - Jestem skłonna zgodzić się na twoją propozycję.

- Słucham?! - Spojrzał na nią zupełnie zdezorientowany.

- O czym ty mówisz?

- Wydawało mi się, że dwa tygodnie temu proponowałeś mi małżeństwo. Czyżbyś się rozmyślił?

- Nigdy w życiu. Tylko... po wczorajszej rozmowie obawiałem się, że zabierzesz Matyldę i wyjedziesz.

- Nie mam zamiaru. Postanowiłam wyrazić zgodę.

- Miałam taką nadzieję. - Odetchnął z ulgą. Patrzył przez chwilę na jej ściągniętą twarz i pionową zmarszczkę przecinającą czoło. - Słyszę w tym jednak jakieś ale.

- Nie oddam ci Matyldy.

- Nie rozumiem.

- Twój projekt zakłada, że adoptujesz ją jako mój mąż. I że po dwóch latach weźmiemy rozwód, a ja odejdę. I ona zostanie z tobą.

- Przypominam ci, że to było jedno z możliwych wyjść.

- Nie zostawię ci jej. Za bardzo ją kocham. Nie mogę też jej zabrać, za bardzo kocha ciebie.

- Chcesz powiedzieć...

- Chcę powiedzieć, że teraz ty musisz coś przemyśleć. Jeżeli małżeństwo, to na stałe. Jeżeli chcesz zatrzymać Matyldę, musisz zatrzymać i mnie. Nie będzie żadnego rozwodu.

- I chcesz zaryzykować? - Nie mógł się otrząsnąć ze zdziwienia. Tego nie mógł przewidzieć. O tym, do cholery, nawet nie marzył. - Z kompletnie nieznaną mężczyzną? A jeżeli nie wytrzymasz?

- Zawsze możemy wrócić do twojego planu. Wydaje mi się, że mogę zaufać komuś, kto tyle ryzykuje dla dziecka, o którym nawet nie wie, czy jest naprawdę jego.

- Tylko w sensie biologicznym. Ona jest moim dzieckiem i nic tego nie zmieni.

- W takim razie ty ryzykujesz więcej.

- Jeżeli ty chcesz podjąć ryzyko, to ja też.

Wypowiedział te słowa tak zdecydowanie, że Elżbieta podniosła głowę i spojrzała mu prosto w oczy. Ciemnopiwnie tęczęwki jarzyły się złotawymi iskrami, a twarz jaśniała radością. Ogarnął ją niczym nie umotywowany smutek. A więc tak bardzo się ucieszył na myśl, że Matylda będzie jego dzieckiem. Nawet nie wie, jak wiele by dała, żeby tak się uśmiechał do ich wspólnej przyszłości. Ale to dla niego tylko konieczny kompromis, cena, jaką płaci za dziecko. Chciała od niego więcej, dużo więcej. Wiedziała jednak, że to jedynie fantastyczne rojenie. Tym bardziej więc zaskoczyło ją następne pytanie.

- A jak sobie wyobrażasz nasze wspólne życie?

- Nie rozumiem.

- Mówię o nas. O tobie i o mnie. Nie zamierzam zdradzać swojej żony i tego samego będę żądał od ciebie. Czy wzięłaś pod uwagę wspólnie spędzone noce? - W napięciu oczekiwał jej odpowiedzi. Modlił się w duchu, by nie spotkała go zdecydowana odmowa. Wtedy będzie miał mnóstwo czasu, by ją przekonać. Żeby ją oczarować, omotać, rozkochać w sobie do szaleństwa. Co najmniej takiego, jakie ogarniało go na myśl o Elżbiecie we wspólnym łóżku. Czuł pożądanie tak silne, jak nigdy dotąd. Nie pamiętał, żeby tak pragnął jakiejś kobiety. I nie tylko jej ciała, ale serca i duszy. Przecież to właśnie on był oczarowany, omotany i zakochany. I to wszystko przez kobietę, z którą właśnie zdecydował się na małżeństwo z rozsądku.

Zdradziecki rumieniec rozlewał się po jej policzkach.

- Ja... ja brałam to pod uwagę. I myślę... bardzo krótko się znamy. Czy musimy o tym teraz decydować? Może... lepiej poczekać, aż się to jakoś samo ułoży. - Nie mógł się oprzeć rozpacz, widocznej w szmaragdowych oczach. I nie chciał jej do niczego zmuszać, mimo że

o niczym innym nie marzył, tylko o tym, by wziąć ją na ręce, zanieść do swojego łóżka i kochać się z nią tak, by nie chciała stamtąd dobrowolnie wyjść. Ale poczeka. Będzie czekał tak długo, jak trzeba, byle tylko w tych smutnych oczach widać było miłość. Miłość do niego, nie tylko do dziecka. Za tę cenę gotów jest zgodzić się na wszystko. Uśmiechnął się do niej uspokajająco.

- Nie denerwuj się, Elu. Będzie jak zechcesz.

- Dziękuję. Teraz musimy postanowić, gdzie weźmiemy ślub.

- Tutaj oczywiście.

- A nie lepiej w Katowicach albo w Poznaniu?

- Nie. To ukręci łeb plotkom i pomówieniom. Wszyscy wiedzieli o Irenie, więc niech teraz dowiedzą się o małżeństwie z jej siostrą. Nie masz przy sobie metryki?

- Tylko skróconą. Skąd mogłam przypuszczać, że będzie mi potrzebny pełny odpis?

- I tak twoich rodziców wypada zawiadomić osobiście. Jutro załatwię wszystko, byśmy we wtorek mogli wyjechać na dwa, trzy dni. Wracając wstąpimy do Poznania.

- Czy nie za bardzo się spieszysz?

- Chcę jak najprędzej mieć pewność, że ty i Matylda należycie do mnie na zawsze.

Idąc po schodach powtarzała sobie jego ostatnie słowa. Nie śmiała tylko uwierzyć, żeby „ty” postawione przed imieniem „Matylda” miało jakieś specjalne znaczenie.

ROZDZIAŁ ÓSMY

- I będę miała mamusię? - Oczy Matyldy były ogromne z przejęcia, a barwą przypominały szafirowe bratki. - Najprawdziwszą mamusię jak wszystkie dzieci?

- No tak, tatusia już nie chcesz. - Janusz uśmiechnął się szeroko, ponieważ Elżbieta ze wzruszenia nie mogła wydusić słowa. I to nie tylko na widok rozpromienionego dziecka, ale także dlatego, że jej przyszły mąż naprawdę uśmiechał się radośnie od samego rana. Od momentu, gdy o siódmej spotkali się przy schodach. Minęła już dziewiąta, a on nadal siedział przy stole w kuchni, między nią a Matyldą i dziwnie nie spieszył się do pracy.

- Chcę! Chcę! Chcę! - Matylda podskakiwała, ogromnie przejęta, po czym wdrapała się na jego kolana i ucałowała go wylewnie. - I tatusia. I mamusię. Jak wszyscy.

Zofia jak zwykle krzątała się po kuchni, tylko tym razem nie odzywała się ani słowem. Od czasu do czasu odwracała się i patrzyła uważnie na rozradowanego Janusza, dziecko siedzące na jego kolanach i obserwującą ich pojaśniałymi oczami Elżbietę. Stukała drzwiami od szafek, z trzaskiem zamykała lodówkę, brzęczała naczyniami w zlewie. Dino kręcił się po kuchni, w widoczny sposób zde gustowany brakiem zainteresowania. Nie był przyzwyczajony do takiego lekceważenia. Nawet miska była pusta. Ludzie tak zajęli się sobą, że nikt nie reagował na trącanie nosem czy podawanie łapy. Z kuchennego blatu koło lodówki doszedł go interesujący zapach. Powoli, starając się nie zwracać na siebie uwagi, oparł o szafkę przednie łapy, na desce leżało pokrojone mięso. Rzucił okiem za siebie, nikt nawet na niego nie spojrział. Sięgnął po leżący najbliżej kawałek i usiłował wymknąć się z kuchni. Zupełnie nie zauważony dotarł do drzwi, niestety nie przewidział przeszkody. Na progu siedział rudy kocur i przyglądał mu się w skupieniu. Dino zatrzymał się i przez chwilę patrzyli na siebie badawczo. Wreszcie pies ustąpił, wypuścił z pyska mięso i wycofał się pod stół. Z rezygnacją obserwował, jak kot ze stoickim spokojem zabiera się do jedzenia.

- Wiesz, że ja się nie wtrącam - zaczęła powoli Zofia. Elżbieta spojrzała zdumiona, bo Janusz po tych słowach roześmiał się na cały głos.

- Oczywiście, cioteczko, że się nie wtrącasz. Ty tylko patrzysz, jak trawa rośnie, i w odpowiednim momencie przykręcasz śrubkę. Nawet myszy się ciebie boją.

- Myślałby kto! Zresztą ty i tak nie słuchasz. Ja tylko mówię wam: małżeństwo to poważna rzecz. A wy jeszcze o dziecku musicie myśleć. Niczego wam nie odradzam, ale pośpiech dobry jest przy łapaniu pcheł.

- Ja wiem, że ciocia ma wątpliwości co do mnie - zaczęła Elżbieta
- ale ja...

- Nie do ciebie mówię, dziewczyno! Z tego, co o tobie wiem, toś wymarzona dla mojego Januszka.

- No widzisz, ciotuniu! - Janusz wstał od stołu, uniósł Matyldę i zakręcił nią w powietrzu, potem roześmianą posadził na kolanach Elżbiety. - Jeżeli ty to po dwóch tygodniach wiesz, to i ja mogę być pewien, nie sądzisz?

- Zawsze odwrócisz kota ogonem. A czy pomyślałeś o niej? Przyjechała tu jak na wakacje. A potem przyjdzie jesień i zima. To nie miasto. Ani tu kina, ani teatru, do ludzi daleko. Jak się nie przyzwyczai, to co?

- Przyzwyczai się, zobaczysz. Przecież ona tutaj rozkwitła. Muszę lecieć. Jeżeli mamy jutro wyjechać, to muszę załatwić mnóstwo rzeczy. Marek zostanie przez ten czas sam, a on ma wrodzony wstręt do papierów, telefonu i biura. Mogę wrócić późno. - Ucałował ciotkę serdecznie w oba policzki, Matyldę pogładził po rozwichrzonych włosach i cmoknął w czoło. A potem, zupełnie niespodziewanie, dotknął delikatnie miękkimi wargami ust Elżbiety i wyszedł nucąc coś pod nosem. Dziewczyna siedziała przez chwilę zupełnie ogłupiała z wrażenia, jakie zrobił na niej ten zdawkowy w końcu pocałunek. Dopiero potem zdradziecki rumieniec począł powoli oblewać jej twarz. Ukryła błyszczące oczy i gorące policzki we włosach Matyldy, ale chyba zrobiła to zbyt wolno, bo ciotka Zofia uśmiechnęła się pod nosem.

- Miałam cię zapytać, Elżusiu, coś ty mu zrobiła, że taki śmiejący aż dziw. Ale teraz widzę, że chyba to samo, co on tobie. A daj wam Boże szczęście!

Janusz prowadził samochód pewnie i spokojnie. Elżbieta zdążyła się zdrzemnąć. Wyjechali o szóstej rano, dla niego to nie było wcześniej, ale ona była zmęczona, niewyspana. Zatrzymywali się kilka

razy na kawę i jeszcze na obiad gdzieś w połowie drogi. On był skupiony na prowadzeniu samochodu, jechał szybko i nie próbował nawet rozmawiać. A teraz, teraz już dojeżdżali. Widziała nad sobą niebo, słońce dziwnie zamglone, krajobraz tak znany od dziecka i tak nagle jakiś obcy. Mijali ciągnącą się kilometrami miejską zabudowę: domki, bloki, pawilony, stare odrapane kamienice. Wszędzie tylko szary asfalt i bezbarwne przytłaczające mury. I nagle poczuła, że wybrała dobrze. Nie chce tu żyć i mieszkać. Jej miejsce jest tam. Nad tym błękitnym jeziorem, wśród lasów. Tam gdzie Matylda, Dino, kury i króliki. Oby jak najdalej stąd.

- Elżbieta! - Głos Janusza wyrwał ją z odrętwienia, wyprostowała się. Mijali już znajome ulice. - Jak mam dalej jechać?

- Ale do mnie czy do rodziców?

- Do rodziców. Załatwmy to od razu. Chyba że się boisz.

- Nie. Masz rację. Jedźmy. Prosto i na światłach w prawo. Tylko pamiętaj, z moją matką nie będzie łatwo.

I rzeczywiście nie było łatwo. Podjechali pod jeden z szeregu familoków z czerwonej cegły. Janusz zamknął samochód i weszli na pierwsze piętro.

- Elisia! Nareszcie! Nie spodziewałam się ciebie dzisiaj.

- Mamo, pozwól, to Janusz.

- On?! I ty go tu przyprowadzasz? - Zostawiła otwarte drzwi i pobiegła do pokoju. - Hendryś, zobacz, kogo przyprowadziła twoja córka.

Janusz objął mocno Elżbietę i stali tak zupełnie idiotycznie, w otwartych drzwiach, nie bardzo wiedząc, co robić dalej. Po chwili ze stołowego, szurając kapciami, wyszedł pan Nowiński. Zatrzymał się w przedpokoju i wskazał ręką w głąb mieszkania. Skrzywił nieśmiało usta w przyjaznym grymasie.

- To czemu nie wchodzicie? Eliżko, ciebie tu trzeba zapraszać?

- Tato, nie jestem sama.

- Widzę, córko. Gościom zawszem rad. Wchodźcie i czujcie się jak u siebie w domu.

Matka zajęła się kuchnią i przez pokój przebiegała w pośpiechu, stawiając na stole coraz to nowe talerzyki, półmiski, szklanki. Ojciec siedział z nimi, ale nie bardzo wiedział, co mówić. Wszyscy byli skrepowani i rozmowa się nie kleiła. W końcu Elżbieta miała dość tej zabawy i zatrzymała matkę w biegu.

- Przestań wreszcie latać tam i z powrotem. Mamy już dość jedzenia i picia. Usiądź z nami, bo musimy porozmawiać.

- Porozmawiać?! O czym?! Co ty mówisz, Elżusiu!? Zgłupiałaś mi całkiem, dziecino. - Matka opadła na fotel, jakby zabrakło jej siły.

- Jak zwykle nic nie rozumiesz, dziecko. Jesteś taka łatwowierna. Ty chyba nigdy nie zmądrzejesz.

- Mamo, opanuj się! Już dawno nie jestem dzieckiem.

- Moim dzieckiem będziesz zawsze - zauważyła patetycznie, ale zaraz potem ton jej głosu się zmienił. - Tak jak Irusia, aniołek mój kochany.

- O Irenie możemy porozmawiać innym razem. Teraz przyjechaliśmy z Januszem, żeby was zawiadomić...

- O czym on może mnie zawiadomić!? Ze zabiera mi następną córkę? I ty nawet nie myślisz o tym, co ci grozi!

- Nic mi nie grozi ze strony Janusza. Co ty znowu wymyśliłaś?!

- Wymyśliłam?! - Matka histerycznie zatrzepotała rękami. - To przecież on! Przyjrzyj się, jakie ma fałszywe oczy. Przez lata całe trzymał Irenę z daleka od nas. Nie pozwalał jej odezwać się do własnej matki. I zabił ją, moje ukochane dziecko. A ty go teraz tu przywozisz!?

Janusz nie mógł się odezwać, był tak zaskoczony reakcją pani Nowińskiej. Próbował coś powiedzieć, ale Elżbieta odezwała się pierwsza:

- Irena zginęła w wypadku. I Janusz nie miał z tym nic wspólnego.

- W wypadku! - Matka Elżbiety otarła łzę wierzchem dłoni. - Biedne dziecko usiłowało wreszcie dotrzeć do rodziców, musiała być zdenerwowana. I to bardzo. To po prostu nieostrożność z jej strony. Nareszcie spróbowała uciec. Gdyby nie więził jej u siebie, nic by się nie stało.

- Basiu, raczej przesadzasz. - Ojciec odezwał się spokojnym, cichym tonem. - Przez lata całe nie wiedzieliśmy, co się z Ireną dzieje. I przecież nikt jej z domu nie porwał, uciekła od nas sama.

- A co ty wiesz!? - W głosie starszej pani brzmiała zupełnie rzeczywista rozpacz. - Ktoś ją musiał od nas zabrać, sama by tego nie zrobiła. Moje serce matki czuło, że ktoś jej nie pozwala skontaktować się ze mną. Teraz wiem, że to był on!

- Nigdy nie miałaś pojęcia, co się dzieje z Ireną przez te wszystkie lata. Dla ciebie ona zawsze była ideałem. - Elżbieta zacisnęła dłonie, aż pobieleły jej kostki. - A to, że zostawiła Januszowi Matyldę? To do ciebie nie dociera, tak?

- Zostawiła!? On jej nie pozwolił zabrać dziecka ze sobą. To zły człowiek, mówiłam ci. Ty tego nie widzisz, ale ja swoje wiem. Jedyne wyjście to mu zapłacić. Więc ile od nas chcesz?

- Ale... za co? - Janusz był skonsternowany i nie całkiem mógł zrozumieć o co chodzi.

- Jak to za co!? Żebyś zostawił w spokoju moje dziecko i oddał mi wnuczkę. Dużo nie mamy, ale samochód można sprzedać. I porcelanę babci też.

- Mamo! Daj spokój! Dlaczego Janusz miałby czegoś od ciebie chcieć?

- I ty się pytasz!? - Po czym zwróciła się do Janusza, który dalej czuł się nieswojo. - Ile chcesz, żeby się od nas odczepić?

- Wystarczy!! - Elżbieta była już mocno zdenerwowana chaotycznymi utyskiwaniami matki. - Po pierwsze, Janusz nie miał nic wspólnego ze śmiercią Ireny, mówiłam ci to kilka razy. I to nie on jej zrobił krzywdę, tylko odwrotnie. Po drugie, on nie potrzebuje twoich pieniędzy, bo ma swoich dość. I po trzecie, nie przyjechaliśmy tu wysłuchiwać twoich historii, tylko zawiadomić was, że bierzemy ślub!

- Matko Boska Częstochowska! A co z Ryszardem?

- Czyżbyś zapomniała, że jesteśmy rozwiedzeni?

- Ale on się opamiętał i chce do ciebie wrócić. Nawet mu dałam klucze do twojej kawalerki, jak sprzedał mieszkanie.

- Co zrobiłaś!? - Elżbieta wprost nie mogła uwierzyć w naiwność matki.

- No dałam twojemu mężowi klucze, żeby na ciebie poczekał.

- Byłemu mężowi, rozumiesz!? Byłemu! - Aż trzęsła się ze złości. - To temu pajacowi dajesz klucze od mojego mieszkania, bo przehulał wszystko, co miał. I jeszcze uważasz, że powinnam do niego wrócić, tak!? A uczciwego człowieka, który przez pięć lat wychowywał twoją wnuczkę, bo Irenka, ten aniołek, nie miała czasu się nią zająć, oskarżasz o Bóg wie jakie zbrodnie!? Nie mamy o czym rozmawiać, mamo. Chyba że zmądrzejesz.

- Bo Ryszarda znam, a jego nie! - odparła pewnym głosem matka.

- Gdybyś rzeczywiście знаła Ryszarda, to nigdy nie dałabyś mu kluczy do mojego mieszkania.

- Dlaczego nic mi nie powiedziałaś? - wtrącił się ojciec. - Przecież bym ci wytłumaczył.

- Bo ty byś mi nie pozwolił! - odparła z błyskiem triumfu w oczach.

- Chodź, Janusz. - Elżbieta miała zupełnie dość. - Musisz mi pomóc wyrzucić tego trutnia z mieszkania. No i musimy wymienić zamki. Mam nadzieję, że niczego nie zdążył wynieść i sprzedać. A swoją drogą, tato, jak ty wytrzymałeś z nią przez tyle lat?

- Eliżko! - Ojciec rozłożył bezradnie ręce. - Przecież wiesz, że z twoją matką kłócić się nie umiem.

- W każdym razie - Janusz starał się mówić grzecznie i spokojnie - zapraszam państwa na nasz ślub. Jak tylko ustalimy termin, damy znać.

W samochodzie milczał przez chwilę, wpatrując się przed siebie i podrzucając w rękę kluczyki. Widać było, że myśli o czymś intensywnie. Elżbieta nie chciała mu przeszkadzać, chociaż zżerała ją ciekawość, a poza tym szkoda jej było czasu. Chciała jak najprędzej dotrzeć do swojego mieszkania i sprawdzić, co się tam dzieje. Po drodze powinni jeszcze kupić zamki. Dochodziła szósta i trzeba było się pospieszyć. Miała to właśnie powiedzieć Januszowi, kiedy on sam przerwał milczenie.

- Słuchaj, Elżbieto. Jeżeli uważasz, że jestem ci niepotrzebny, to powiedz tylko słowo. Nie będę stawał między tobą a twoim mężem.

- Słucham?! - Odwróciła się w jego kierunku zdziwiona. Patrzył na nią uważnie i ciepło. Przez dłuższą chwilę milczeli, nie mogąc oderwać od siebie wzroku.

- On chce do ciebie wrócić. Nie będę mieć żalu, jeśli i ty zechcesz ułożyć wszystko na powrót między wami.

- O tym nie może być mowy, Janusz! Nasze małżeństwo od początku nie miało szans. Przez pięć lat robiłam wszystko, co mogłam, żeby je uratować, i to zupełnie wystarczy. A teraz jedźmy zobaczyć, co z mojego mieszkania zostało.

- Jesteś pewna, że go już nie kochasz?

- Zdążyłam zapomnieć, że go kiedyś kochałam. A może go nigdy nie kochałam i nie mam czego pamiętać. - Pogładziła go po zaciśniętej dłoni. - To nie ma znaczenia, naprawdę. Jedźmy już.

- Jak sobie życzysz. - Zapisał silnik, ale jeszcze raz odwrócił wzrok od kierownicy. - Podoba mi się to zdrobnienie: Eliżka. Pozwolisz tak mówić do siebie?

- Dotąd mówił tak tylko ojciec.

- To teraz będzie nas dwóch, Eliżko.

Tym razem winda działała. Janusz wstawił do niej torby i skrzynkę z narzędziami. Drzwi od mieszkania nie były zamknięte. Wysprzątana przed wyjazdem „dziupla” wyglądała jak obraz nędzy i rozpaczy. Przez to wydawała się jeszcze bardziej mikroskopijna. Kanapa była rozłożona i pokryta skotłowaną pościelą. Na stoliku piętrzyły się brudne szklanki, talerzyki i butelki po piwie. Telewizor grał na cały regulator. Odwrócony tyłem ciemnowłosa mężczyzna układał coś w tekturowym pudle i przekładał to pieczołowicie gazetami. Elżbieta zrobiła dwa kroki i wyłączyła odbiornik. Nagła cisza zwróciła uwagę mężczyzny, odwrócił się i wbił zaskoczony wzrok w stojącą na progu parę.

- Witaj, Ryszardzie! - Elżbieta była zupełnie spokojna. - Czy możesz mi powiedzieć, co tu robisz?

- Postanowiłem zaopiekować się mieszkaniem do twojego powrotu, Elżbietko. Miało cię nie być przez dwa miesiące - odparł pogodnie krępy brunet o nalanej twarzy. Jego ciemna uroda filmowego amanta z pewnością kiedyś zbijała z nóg. Teraz miał worki pod oczami, włosy przerzedzone nad czołem i wyraźnie zaczynał tyć. Nie zmniejszyło to jednak jego pewności siebie.

- Jak widzę, kompletem weneckich kieliszków postanowiłeś zaopiekować się w szczególny sposób. I chyba - Elżbieta wskazała jaśniejszy prostokąt na ścianie - moim szkicem Kossaka również.

- No wiesz! - Machnął ręką, podkreślając błahość problemu. - Mam trochę kłopotów finansowych. Chciałem to zastawić, wykupiłbym za miesiąc i ani byś się nie zorientowała.

- Będziesz musiał poszukać innego wyjścia z twoich finansowych kłopotów. Bo stąd możesz zabrać tylko swoje osobiste rzeczy i te butelki po piwie.

- Ależ, Elżbietko! - Ton Ryszarda brzmiał niemal pieszczotliwie. - Nie zrobisz mi tego. Przecież jesteś moją żoną.

- Byłam twoją żoną i na szczęście nią nie jestem. A teraz pakuj swoje rzeczy i wyńs się.

- Wyrzucasz mnie!? I nie obchodzi cię, że nie mam gdzie się podziąć?

- Nie, zupełnie mnie to nie obchodzi. A swoją drogą ciekawe, co zrobiłeś ze swoim mieszkaniem?

- Miałem trochę problemów i musiałem sprzedać mieszkanie.

- Ty nigdy nie dorośniesz, Ryszardzie. Lepiej pakuj swoje rzeczy i znikaj.

- Elżbietko, kochanie! Reagujesz zbyt nerwowo. Widzisz, pomyślałem sobie, że postąpiliśmy zbyt pochopnie. Moglibyśmy spróbować jeszcze raz. W końcu nasze małżeństwo nie było takie złe. I dalej cię kocham. - Ryszard zniżył głos do intymnego szeptu i widać było, że uwierzył we własne zapewnienia. Janusz energicznie postawił na podłodze torby i celowo stuknął skrzynką z narzędziami. Denerwował go ten bezczelny mydłek, który w widoczny sposób starał się wykorzystać Elżkę. Jego Elżkę. Nie chciał się jednak wtrącać, to była tylko jej sprawa. Nagły dźwięk zwrócił uwagę Ryszarda. Spojrzał na Janusza i przystojna twarz wykrzywiła mu się nieprzyjemnie.

- A to kto? Czemu on się miesza w nasze prywatne sprawy?

- To ty się mieszasz w nasze prywatne sprawy. - Odpowiedź Elżbiety była natychmiastowa. - To jest mój narzeczony, Janusz. I chcielibyśmy, żebyś się stąd jak najprędzej wyniósł.

- Szybko się pocieszyłaś. Nie sądziłem, że tak mało dla ciebie znaczył nasz związek.

- Posuwa się pan stanowczo za daleko! - Janusz nie wytrzymał dłużej. - O ile wiem, to pan wystąpił o rozwód, więc proszę sobie robić wyrzuty. Sprawdź, kochanie - zwrócił się do Elżbiety - czy wszystko jest na swoim miejscu. Panu Ryszardowi byłoby przykro, gdyby coś z mieszkania zginęło, prawda?

Po chwili zostali sami. Janusz zabrał się do wymiany zamków, Elżbieta sprzątała mieszkanie. Wrzuciła pościel do pralki. Pozbierała brudne naczynia. Umyła lepką od cukru i piwa powierzchnię stolika. Wytarła kurz z mebli. Kiedy sięgnęła do pudła, żeby ustawić szkło na półce, Janusz powstrzymał ją.

- Wziąłem od Jurka mercedesa, żebyś mogła zabrać chociaż część swoich rzeczy. Tego szkła raczej nie zostawiaj.

- Nie pomyślałam o tym.

- Musimy się zastanowić, co zrobić z mieszkaniem. To własnościowy lokal?

- Tak. Myślisz, żeby go sprzedać?

- Nie chcę, żebyś czuła się osaczona i bez miejsca, do którego mogłabyś wrócić. Może wynająć na rok? Potem zdecydujesz, co dalej.

- Czy mamy czas, żeby to załatwić?

- Jutro znajdziemy jakieś biuro nieruchomości i damy odpowiednie zlecenie. Musiałabyś spakować swoje rzeczy. Zabierzemy, ile się da, a resztę zawieziemy do twoich rodziców. Potem je jakoś ściągniemy.

- To chyba najmądrzejszy pomysł. Tym bardziej, że nie mogę kluczy zostawić rodzicom. Nie wiadomo, komu jeszcze matka może je oddać.

- Więc czeka nas pracowity dzień. Eliżka, słuchaj - roześmiał się nagle zupełnie głośno. Spojrzała na niego ze zdziwieniem, do tej pory śmiał się tylko do dziecka lub psa. - Zamki do drzwi zdążyliśmy kupić, ale do jedzenia niczego nie mamy. Skoczę do sklepu, dobrze? Widziałem pawilon po drodze.

W ciasnej kuchni dwie osoby ledwo się mieściły, mimo to Janusz uparł się, żeby jej pomagać. Czowała za plecami jego obecność, gdy kroїła chleb i wędlinę. Nakrywał do stołu, szukał sztućców, talerzyków i kieliszków. Nie odwracając się wiedziała, kiedy jest w kuchni, a kiedy wychodzi na chwilę do pokoju. Nagle odwróciła się po solniczkę i znalazła się w jego ramionach. Przyciągnął ją do siebie mocno i niecierpliwie, jakby od dawna na to czekał. Patrzył jej w oczy bez słowa, a ona nie mogła się ruszyć. Czowała ciepło otaczających ją mocnych ramion i sama nie wiedziała, dlaczego drży w niecierpliwym oczekiwaniu. Bardzo powoli spuścił głowę i delikatnie dotknął jej warg. Jego usta były ciepłe i miękkie. Wyciągnęła ręce, żeby go objąć. Z bezgłośnym westchnieniem ulgi wsunęła palce w gęste włosy nad karkiem, przyciągając jego głowę jeszcze bliżej. Odpowiedział natychmiast, całując coraz mocniej, głębiej. Wtuliła się w niego całym ciałem, oddając namiętne pieszczoty warg i języka, reagując na niego z rosnącą pasją. Jego ciepłe twarde dłonie przesuwwały się po jej plecach, zsuwały się coraz niżej, by wreszcie przyciągnąć do siebie tak mocno, aż całą sobą poczuła ogrom jego pożądania. Zupełnie niezależnie od niej narastała burza wewnętrznych wrażeń, nigdy nie uprzytomnionych pragnień, całe jej ciało drżało w oczekiwaniu czegoś

zupełnie nieznanego. Nigdy wcześniej tego nie czuła i wiedziała, że tylko Janusz może spełnić ukryte w tych niesamowitych pocałunkach obietnice. Nieważna była kolacja, natrętny świst czajnika, cały świat. Tylko oni dwoje wtuleni mocno w siebie byli ośrodkiem wszystkiego. Poza nimi nie istniało już nic.

Dopiero po dłuższej chwili dotarł do nich uporczywy dzwonek do drzwi. Oparła twarz na jego piersi, a on wtulił usta w jej włosy. Trwali tak w niemym oczekiwaniu, w nadziei, że dzwonek wreszcie ucichnie. Niestety, nie ucichł. Po dłuższej chwili Elżbieta oderwała się od Janusza i pobięła otworzyć. Była gotowa zabić Ryszarda, jeżeli tylko go zobaczy. Szarpnęła energicznie klamkę. W progu stał ojciec.

- Przepraszam, Eliżka, ale właściwie nie zdążyliśmy porozmawiać.

- Wejdz, tato. Mam nadzieję, że jesteś sam. Nie mam już ochoty na histerie matki.

- Ona się o ciebie troszczy.

- Tak?! Nie zauważyłam. Nie obchodziło jej nic poza własnymi fantazjami. - Poprowadziła ojca do pokoju i usadziła w fotelu. - Zrobię ci herbaty. Właśnie mieliśmy siadać do kolacji.

- Chciałbym was przeprosić - powiedział ojciec, przysuwając fotel do stolika. Elżbieta ustawiła talerz z kanapkami, Janusz przyniósł herbatę i nalał wino do kieliszków. - Wiesz, że matka tak reaguje od czasu, gdy Irena uciekła z domu.

- Ale to nie powód, żeby tak traktować Janusza.

- Nie chodzi o mnie. - Janusz uśmiechnął się, unosząc kieliszek. - Ważniejsze, żeby zaakceptowała twoją decyzję.

- Właśnie dlatego do was przyszedłem. Chciałem się czegoś dowiedzieć o waszych planach. O panu i mojej wnuczce. Potem będę miał czas jakoś spokojnie jej to wyjaśnić i, mam nadzieję, przekonać ją.

Następnego dnia udało im się wszystko załatwić. Klucze od mieszkania przekazano agencji, rzeczy Elżbiety zostały przewiezione do rodziców. Jeszcze jedną noc Janusz przemęczył się na dmuchanym materacu, po czym wyładowanym samochodem ruszyli do Poznania.

- Nie martw się, Eliżko - pocieszał Janusz, patrząc na jej zaszępioną twarz. - Uprzedziłem już matkę telefonicznie. Nie będzie żadnych niespodzianek.

- Obyś miał rację.

- Nic ci nie grozi. Ona ci w końcu zaufała.
- Dlaczego wszyscy nas traktują jak dzieci? Nikt nie chce uwierzyć w słuszność naszej decyzji.
- A ty jesteś pewna, że robisz dobrze?
- Najzupełniej!
- To może przestań się tym przejmować, co? Pomyśl, dzisiaj wieczorem będziemy w domu.
- Z Matyldą.
- Właśnie. Z Matyldą. Czy trzeba czegoś więcej? Elżbieta rzuciła okiem na profil Janusza. Nie patrzył na nią, skupiony na prowadzeniu samochodu. Mocne dłonie spoczywały pewnie na kierownicy. Tak, chciała czegoś więcej. Wszystkiego, co tylko możliwe. A na razie musi jej wystarczyć Matylda i małżeństwo z rozsądku.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Przyjechał, nareszcie przyjechał! Elżbieta wpadła do swego pokoju i spojrzała w lustro toaletki. Chyba zdąży jeszcze wziąć szybki prysznic i przebrać się. Zadzwoił z jakiejś stacji benzynowej, że będzie za godzinę. Matylda i Zofia już śpią, to dobrze, to cudownie. Będzie go miała dla siebie po prawie dwóch tygodniach nieobecności. Nawet nie przypuszczała, że tak będzie na niego czekać.

Dziesięć dni poprzedzające jego wyjazd spędzili w tak szalonym rytmie, że dla siebie prawie nie mieli czasu. Załatwili formalności związane ze ślubem, ale poza tym Janusz wszystkie godziny musiał poświęcić nowej linii produkcyjnej. Wychodził z domu rano, wpadał na obiad, zajmował się Matyldą i znów wracał do pracy. Przyjeżdżał późno i był tak zmęczony, że od razu kładł się spać. Wyjazdu do Holandii też nie dało się przełożyć. Rozumiała to i nie miała do niego pretensji. Zresztą, skąd mogła wiedzieć, że dom bez niego będzie taki pusty? Jedenaście dni dłużyło się tak, jakby to było jedenaście tygodni. Na pozór dzień miała wypełniony, Matylda była tak absorbująca. Elżbieta z przyjemnością zajmowała się dzieckiem, odpowiadała na niezliczone pytania, ubierała lalki, czytała książki, grała w loteryjkę. Trzeba było Dina ratować z przeróżnych opałów, jak choćby wtedy, gdy ściągnął na gęste futro cały słoik miodu. Myły go ciepłą wodą w pralni i niestety wycierały potem podłogi prawie w całym domu. Przez dwa dni szukała z Matyldą kury, która, jak się potem okazało, założyła sobie gniazdo w gęstych krzakach agrestu. Z królikami była łatwiejsza sprawa, wyhodowane w klatce, nie bardzo umiały uciekać, więc wyłapanie ich zajęło tylko kilka godzin. Miała potem wyrzuty sumienia, bo to ona nie domknęła klatki, snując rozmaite rojenia na jawie, myśląc bez przerwy o Januszu. Zofia coraz częściej potrzebowała jej pomocy w kuchni, kilka razy zapraszali ją do siebie Maria z Markiem. Spędziła u nich dwa cudowne popołudnia, gdy Matylda bawiła się z Jasiem i Małgosią. To wszystko zapełniało godziny, ale nie mogło sprawić, by czas płynął szybciej.

I teraz nareszcie wraca. Elżbieta wpadła do łazienki. Starczyło jej czasu na prysznic. Trochę kosmetycznego talku, kropla perfum. Najlepsza bielizna, popelinowe spodnie i muślinowa bluzka. Jeszcze parę pociągnięć szczotką po włosach, odrobina szminki na usta. Jakies klipsy? Nie zdążyła, usłyszała właśnie, że samochód podjeżdża pod dom. Zbiegała po schodach, kiedy Janusz stanął w drzwiach.

Popatrzył na nią i rzucił torbę na podłogę. Wpadła prosto w jego szerokie ramiona. Podniósł ją w górę, okręcił wkoło, a potem nagle opuścił powoli na podłogę, patrząc głęboko w oczy. Kiedy pochylił głowę do pocałunku, musiała mocno się uchwycić jego ramion. Cały świat oszalał, zawirował i zmniejszył się do wymiaru przestrzeni, w której mieścili się tylko oni, ich oczy, usta. Ramiona Janusza wyznaczały granice, dalej świat się kończył. Całował mocno, zachłannie, pieszcząc rozchylone usta wargami i językiem, zmuszał ją do odpowiedzi. Przytulał ją do siebie, gładził ramiona, plecy, pośladki. Wydawało mu się, że żył dotąd w jakiejś pustce, w której brakowało właśnie Elżbiety, jej oczu, włosów, gładkiej skóry i cudownie miękkiego ciała, które tuliło się do niego tak bardzo, że odczuwał je prawie jak część samego siebie. Tylko ona mogła ukoić tę tęsknotę, ten ból niezaspokojenia, tylko ona, Eliżka. Oderwał się na chwilę od jej ust, by obsypać drobnymi pocałunkami przymknięte oczy, policzki, włosy, szyję... Powtarzał szeptem jej imię i słyszał w odpowiedzi swoje. Czuł dotyk drobnych dłoni na ramionach, na karku i we włosach. Kiedy wsunęła dłoń za rozpiętą koszulę i dotknęła nagiego ciała, przeszedł go nagły dreszcz. Wziął ją na ręce i zaniósł na kanapę w salonie. Przez cienkie firanki sączyło się światło księżyca, rzucając nieco srebrnego blasku na twarz Elżbiety. Półprzymknięte oczy, opuchnięte od pocałunków rozchylone usta, rozsypane wokół twarzy włosy. Trzymał ją na kolanach i wpatrywał się w nią głodnym wzrokiem. Zawstydziała się tego spojrzenia i pośpiesznie ukryła twarz na jego piersi. Poczul dotyk gładkiego policzka na nagiej skórze i zadrżał, jakby poraził go prąd. Całował z pasją jej szyję, kark, uszy, ale same pocałunki przestały wystarczać. Poszukał jej ust i znów pieścił je z jakąś zapamiętałą pasją, zatracając się zupełnie, bo Eliżka z taką samą namiętnością odpowiadała na nieopanowane pieszczoty.

Czuła bicie jego serca, ciepło jego ciała, kiedy trzymał ją na kolanach, przytulając do siebie w kurczowym uścisku. Duże, szerokie dłonie przesuwaly się powoli po jej plecach, wzdłuż kręgosłupa, a potem na boki, blisko piersi, które nabrzmiały boleśnie i czekały na dotknięcie jego rąk. Elżbieta reagowała na ten dotyk, ciepło rozchodziło się falami po jej ciele, docierało wszędzie, by skupić się w ciasno spleątany węzeł gdzieś w dole brzucha. Chciała, by jej dotknął, pieścił ją, brał w posiadanie. Niecierpliwie poruszyła się, pragnąc, by się pospieszył, by nie kazał jej czekać dłużej. Prawie krzyknęła, gdy

musnął nagie ciało nad paskiem spodni i wreszcie wsunął ręce pod cienki materiał. Odchyliła się do tyłu, by wyraźnie poczuć jego mocne dłonie, by zachęcić go do sięgnięcia wyżej, dalej, bliżej nabrzmiąłych piersi i stwardniałych jak kamyki sutek. Palce jej drżały, gdy rozpiniała kolejne guziki koszuli, by wreszcie rozpostarte płasko dłonie położyć na szerokiej, mocnej piersi, zaplatać palce w gęste, skręcone, kasztanowe włosy. Przebiegał przez niego dreszcz. Chwycił za brzeg cienkiej, niemal przezrystej bluzki, zsunął jej przez głowę luźny łaśzek i rzucił w kąt kanapy. Przez chwile nieporadnie próbował rozpiąć haftki stanika i wreszcie cisnął go w ślad za bluzką. Pełne piersi idealnie wypełniały jego dłonie. Przesunął delikatnie kciukiem po nabrzmiąłych sutkach. Z ust Elżbiety wyrwał się głęboki, gardłowy jęk rozkoszy. Otoczył ją ramieniem, przyciągnął bliżej i zamknął usta na ciemnym zwieńczeniu piersi. Druga ręka powoli lecz zdecydowanie przesuwiała się coraz niżej, by w końcu wsunąć się za pasek spodni. Dłonie Elżbiety, jakby ciągnięte nieodpartą koniecznością, też przesuwwały się po trójkącie skręconych ciemnych włosów, by wreszcie szarpnąć za klamrę paska. Janusz odsunął ją od siebie, uniósł jej brodę w górę i pociemniałymi oczami wpatrywał się w jej źrenice.

- Eliżko, powstrzymaj mnie, zanim będzie za późno.

- Nie... nie chcę, żebyś przestał. Proszę.

- Najmilsza, czy na pewno tego chcesz?

- Niczego bardziej nie chciałam. - Pochyliła się, by złożyć delikatny pocałunek w miejscu, gdzie przyspieszonym rytmem biło jego serce.

- Więc chodźmy stąd. Do twojego pokoju. Tam jest klucz. Janusz zapalił świece na toaletce i rzucił koszulę na fotel. Wpatrywali się w siebie złaknionym wzrokiem, śledząc refleksy płomyków pełgających po ich ciałach. Lustra szafy i toaletki odbijały mocne mięśnie pleców Janusza i wzniesione, gładkie piersi Elżbiety. Ona pierwsza z westchnieniem sięgnęła do zapięcia spodni.

- Nie! Ja to zrobię. Pozwól mi. - Janusz ukląkł przed nią i drażniąco powolnymi ruchami zsuwał spodnie, pokrywając pocałunkami odsłaniającą się gładką skórę brzucha, ud, kolan. Pod Elżbietą ugięły się nogi. Uchwyciła się jego ramion, z półotwartych ust wydobywały się zduszone westchnienia. Zsunął jeszcze koronkowe majteczki i dziewczyna opadła na pościel, nie mogąc się

dłużej utrzymać na nogach. Pochylił się nad nią i wykreślał ustami zawiłe ścieżki w górę jej ciała, poprzez brzuch, piersi, szyję, aż do spragnionych warg. Pieścił jej uda, powolnymi dotknięciami przesuwając dłoń w górę, ku ich zwieńczeniu, by dotykać, gładzić, drażnić punkt najczulszej rozkoszy, aż Elżbieta wyprężyła się nagle i z przeciągłym okrzykiem kurczowo zacisnęła ręce na jego szyi. Dopiero wtedy wstał i pospiesznie zrzucił spodnie. Patrzyła jak urzeczona na jego mocne ciało, mięśnie ramion i barków, wąskie szczupłe biodra i silne uda. Widziała, jak bardzo jest podniecony, i cała drżała w oczekiwaniu.

- Eliżko, nie mam nic przy sobie. Jeżeli nie chcesz ryzykować...

- Chcę! Pospiesz się! Proszę.

Ukląkł między jej rozchyłonymi udami i powoli opuścił się na jej spragnione ciało. Otworzyła się dla niego i z ulgą poczuła, jak ją wypełnia sobą, łącząc ich w jedno. Jej uczucia były jego uczuciami, poruszali się w tym samym rytmie, miała wrażenie, że krąży w nich ta sama krew, wściekle łomocąc w skroniach i pulsując w napiętym ciele. Płynęli razem na falach ciągle rosnącej napiętości, narastającej spirali wrażeń aż do tego ostatecznego momentu, kiedy świat zawirował, rażąca czerwień przed oczami rozpadła się w drgającą tęczę fajerwerków. Nagłe spełnienie rzuciło ich w otchłań bez dna, więc trzymali się siebie kurczowo, nie chcąc stracić jedyne oparcia w otaczającej ich pustce. Elżbieta słyszała tylko swój gardłowy krzyk, widziała jego pociemniałe oczy i ruch warg, które powtarzały coś bez końca, chociaż żaden dźwięk do niej nie docierał. Dopiero po dłuższej chwili przewrócił się na bok, nie wypuszczając jej z objęć. Przytuliła usta do jego skroni i trwali tak bez ruchu, zbyt zmęczeni, by się oderwać. Czowała tylko bicie jego serca i ciepłe tchnienie oddechu na skórze. Nigdy nie przeżyła jeszcze czegoś takiego. Lata małżeństwa nie przygotowały jej do wybuchu napiętości w płomień, który ją spalał i oczyszczał. Nareszcie poczuła się wolna od tamtego związku. I wiedziała, że nigdy nie będzie chciała od Janusza odejść. Kochała go. Tylko miłość mogła dać chwile takiego szczęścia. Ale dla niego był to tylko formalny układ. I nie szukał w nim miłości. Na myśl o tym łzy spływały jej spod przymkniętych powiek. Janusz podniósł głowę.

- Płaczesz? Co się stało? Czyżby nie...

- Było cudownie. - Uśmiechnęła się przez łzy. - Cudownie, wspaniale, fantastycznie, nieziemsko.

- Więc to ze szczęścia? - zapytał scałowując wilgoć z jej policzków. - Byłaś niesamowita, Eliżko. Nie potrafię ci chyba podziękować. Nie wiem jak.

- Lepiej tego nie rób. W ten sposób możemy sobie wyrażać wdzięczność do rana. - Ułożyła głowę na jego ramieniu i przymknęła oczy.

Świece wypaliły się już dawno. Na wschodzie niebo zaczynało szarzeć. Janusz leżał na wznak z rękami pod głową. Elżbieta przytuliła policzek do jego piersi i obejmowała go ramieniem. Długie włosy rozsypały się po pościeli. Oddychała spokojnie, pogrążona w głębokim śnie. Czuł gładkość jej skóry i tchnienie oddechu. Powinien być szczęśliwy, ale nie był. Kiedy proponował jej małżeństwo, kiedy postanowili się pobrać, spodziewał się, że może do tego dojść. Miał taką nadzieję. W końcu pragnął jej niemal od samego początku. Nie marzył jednak, że będzie aż tak cudowna i szczodra. Pasowali do siebie wprost idealnie. Nie pamiętał, by kiedykolwiek czuł się podobnie zaspokojony. Wszystkie dotychczasowe przeżycia zbladły i odeszły w cień. Mógłby sobie wmawiać, że to skutek długotrwałego celibatu. Mógłby, ale po co. Nie było sensu się okłamywać. Wpadł po uszy. Zakochał się. Powinien unosić się w górę z radości. Miłość. Tak. Tylko że dla niej to wyłącznie małżeństwo z rozsądku. Nie mógł mieć do niej pretensji, w końcu sam to zaaranżował i sam wysunął tę beznamiętną propozycję. A Elżbieta się na nią zgodziła. Przynajmniej wiedzą, że w ich małżeństwie seks będzie czymś wspaniałym. Szkoda, że nie miłość. Nie, to nie może wystarczyć! Zrobi, co tylko się da, by skłonić ją do wzajemności. Zrobi wszystko, zwiąże ją ze sobą na wszystkie możliwe sposoby. Udowodni jej, że jest niezbędny i niezastąpiony. Pewnego dnia go pokocha, musi go pokochać. Odsunął ją delikatnie i wstał z łóżka. Ubrał się pospiesznie i jeszcze raz do niej podszedł. Podłożyła dłoń pod policzek i oddychała rozchylonymi ustami. Była tak wzruszająca, spała spokojnie niczym dziecko. Pochylił się, by musnąć delikatnie jej wargi. Natychmiast otworzyła oczy.

- Wychodzisz już? - W jej głosie słychać było wyraźny żal. Ucieszyło go to. Chętnie by z nią został, ale wiedział, że nie powinien.

- Elżko, kochanie. Co prawda za dwa tygodnie bierzemy ślub, ale w domu jest dziecko i Zofia. Trochę dyskrecji nie zaszkodzi.

- Pewnie masz rację. - Westchnęła i przeciągnęła się z gracją leniwej kotki. - Ale wcale mi się to nie musi podobać.

- Mnie się też nie podoba. Więc nie utrudniaj.

- A wrócisz wieczorem?

- Jeżeli zamkniesz drzwi, wejść przez okno. - Po chwili cicho dorzucił: - Nie masz nic przeciwko dzieciom, prawda?

- Na twoim miejscu - Elżbieta wyraźnie posmutniała - nie liczyłabym na to zbyt.

- A ja wierzę, że nam cię uda. Prześpij się jeszcze trochę. Zobaczymy się na śniadania.

Bezszelestnie przekręcił klucz i przesłał jej pocałunek na dłoni. Wtuliła rozpaloną twarz w poduszkę. Pod zamkniętymi powiekami przesuwały się obrazy ostatniej nocy. Niewiele spali. Janusz niecierpliwie sięgał po nią trzy, a może cztery razy. Właściwie nie całkiem tak, bo przecież ona wyciągała po niego ręce z równym brakiem opanowania. To cudowne wspólne szaleństwo rozlewało się leniwym zmęczeniem po jej ciele. Odpływała w sen, czując spokój i ukojenie. I chyba w głębi świadomości pozostało pytanie, na które nie umiała znaleźć odpowiedzi: czy nie słyszała, czy nie chciała usłyszeć, czy też może nie rozumiała słów szeptanych przez Janusza w chwilach najwyższego uniesienia?

Była dziesiąta. Na wsi to prawie południe. Jeszcze nigdy nie zdarzyło jej się obudzić tak późno. Schodziła po schodach powoli, nasłuchując znajomego, porannego gwaru. W kuchni było cicho. To było do przewidzenia, wszyscy wstali już dawno. Przyglądała jeszcze włosy nerwowym ruchem, zanim stanęła w progu. Janusz siedział przy stole, a Zofia w skupieniu robiła przegląd zamrażarki. Starając się nie zwracać na siebie uwagi, Elżbieta wsunęła się na swoje miejsce za stołem. Pocałował wrażliwą skórę na nadgarstku, unosząc jej dłoń i położył ją sobie na udzie. Delikatnie pogładził opuszkami palców napięte mięśnie. Wydawało jej się, że wciągnął ze świstem powietrze. Zofia z trzaskiem opuściła wieko.

- No no! Ależ się dziś niektórym późno dzień zaczyna. A możeś ty chora, dziewczyno?

- Nie. Raczej nie. - Elżbieta zaczerwieniła się po same uszy.

- Jakoś mi się dzisiaj dobrze spało.

- No popatrz! - Ton pani Zofii był bezsprzecznie ironiczny. - To tak jak Januszowi. Też dopiero co wstał.

- Przyjechałem późno i byłem zmęczony.

- Starość nie radość, co? Tak cię nagle te trzy godziny drogi z lotniska w Goleniowie zmęczyły, żeś torby za progiem rzucił i drzwi nie zamknął na klucz.

- Czasem się zdarza. - Janusz przykrył dłoń Elżbiety i spojrzał na nią porozumiewawczo. Złote iskierki zatańczyły w piwnych tęczęwkach.

- No toście feralny wieczór mieli. Elunia też taka śpiąca była wieczorem, że bluzkę i bieliznę zostawiła w salonie na kanapie. Zaniósłam do pralni i tam leżą. Takich pajęczyn to się boję pracować.

- Zawsze mówiłem, ciotuniu, że ty słyszysz, jak trawa rośnie.

- Słyszeć to akurat nic nie słyszała, ale czy jeszcze mam dobre. Więc mi tu piasku nie syp.

- A gdzie Matylda? - Elżbieta postanowiła zmienić temat, bo rozmowa stawała się dla niej coraz bardziej żenująca.

- Ano wstała rano, jak zwykle, śniadanie zjadła, kury i króliki sama nakarmiła, a potem przyjechała Maria, żeby ją do siebie zabrać. Przed obiadem trzeba po nią pojechać. Tego kundla też zabrały, widocznie Lipskim znudził się ich dom i ogród. Od jutra będą mogli robić remont. - Zofia odeszła od przepastnej zamrażarki i położyła przed Januszem gęsto zapisaną kartkę. - To na razie tyle.

- Tyle! Na skromne, weselne przyjęcie w ogrodzie?!

- Przecież jak ludzi zaprosisz, to musisz im dać jeść. Jedziecie do Koszalina, to od razu to załatwisz.

- Jedziemy? - Elżbieta była zdziwiona. - To nie idziesz dzisiaj do pracy?

- Wziąłem sobie wolne na załatwienie spraw osobistych. Zresztą miałem wrócić dopiero za trzy dni. Przebierz się, Eliżka, w jakąś sukienkę, nie wypada iść do księdza w dżinsach.

- Do księdza? Załatwialiśmy tylko ślub cywilny.

- Słuchaj, Elżbieto! - Janusz spojrzał na nią w skupieniu. Zmienił zdanie na temat ślubu, ale jeszcze nie mógł jej się przyznać dlaczego. Stanowczo za wcześnie było na wyjawienie prawdy. Powinien znaleźć argumenty, których nie mogłaby podważyć. Tymczasem jedyny logiczny powód to ten, że postanowił przywiązać ją do siebie w każdy

dostępny sposób. Zupełnie niespodziewanie Zofia przyszła mu z pomocą.

- To jest wieś, Eluniu. Tu dla ludzi ślub to tylko kościół. Nie chciałam wam tego sama tłumaczyć, ale cieszę się, że Janusz zrozumiał. Jak chcesz tu żyć i mieszkać, to z boskim błogosławieństwem.

- Ale nie mówiliśmy o tym wcześniej.

- Bo nie było czasu. - Janusz poczuł nagły przyływ inwencji - W Urzędzie Stanu Cywilnego trzeba czekać co najmniej miesiąc i musieliśmy to załatwić przed moim wyjazdem. Proboszczowi wystarczą dwa tygodnie.

- Sama nie wiem...

- Z Ryszardem przecież nie miałaś kościelnego ślubu, prawda? - Wiedział, że popełnił błąd. Nigdy mu o tym nie mówiła, więc nie miał prawa wiedzieć. Modlił się, by nie zwróciła na to uwagi.

- No, rzeczywiście nie. Matka chciała poczekać na powrót Ireny i tak już zostało.

- I to dobrze. - Na szczęście niczego nie zauważyła. -

Zresztą mówiłaś, że jak małżeństwo, to na stałe i nie będzie żadnego rozwodu. Nie zmieniłaś zdania, mam nadzieję?

- Nie! Nigdy w życiu. Tylko to takie nieoczekiwane...

- Jeżeli nie chcesz - Janusz wpatrywał się w nią uporczywie - jeżeli chcesz dłużej poczekać, odłożmy to na później. Przyrzekłem, że nie będę cię do niczego zmuszał.

W napięciu czekał na jej decyzję. Zofia też nic nie mówiła, przyglądając się im z uwagą. Elżbieta milczała dłuższą chwilę, myśli kłębiły jej się w głowie szalonymi zawirowaniami.

- Oczywiście, macie rację. Po prostu byłam zaskoczona, ani przez chwilę o tym wcześniej nie myślałam.

- Więc zgadzasz się?

- To nas jeszcze silniej zwiąże ze sobą i z Matyldą, prawda? I o to ci właśnie chodzi. Przepraszam, pójdę się przebrać. - W pośpiechu pobiegła na górę. Janusz uderzył w stół zaciśniętą pięścią. Znowu wszystko było nie tak. Ona nigdy się nie domyśli, o co mu naprawdę chodziło. Dla niej ważne było tylko dziecko, nie on.

Załatwili wszystko w szalonym tempie, do którego Elżbieta zaczęła się już przyzwyczajać. Kiedy podjechali po Matyldę do Lipskich, Marek już czekał na nich, niedbale oparty o furtkę.

No, Janusz, widzę, że mogę ci gratulować. Trzeba przyznać, nie marnowałeś czasu. - Uśmiechał się jak zwykle szerokim, chłopięcym uśmiechem i mrugał do Elżbiety porozumiewawczo.

- Ciekawe, skąd ty to wszystko wiesz. Dino ci powiedział? - w głosie Janusza brzmiało wyraźne rozbawienie.

- Wyobraź sobie, że nie. Wsypała was Matylda. Pouczyła Małgosię, żeby nie zadzierała nosa, bo ona też będzie miała i tatusia, i mamusię, i braciszka i jeszcze siostrzyczkę. Pytam ją, kto będzie mamusią, a ona na to, że ciocia Ela.

- A obiecała, że nic nikomu nie powie. Miałem was zawiadomić jutro, jak odbierzemy poprawione zaproszenia, ale skoro już wiecie...

- Wydrukowali wam z błędami?! - zainteresował się Marek, prowadząc ich ścieżką w głąb ogrodu.

- Nie. Musieliśmy zmienić tekst, bo zdecydowaliśmy się na ślub kościelny.

- Elżbieto, moje gratulacje. Najwyższy czas dla niego. Dobrze go przywiąż i nie puszczaj.

- Tak się cieszę, moi kochani! - Z ogrodu biegła ku nim Maria, drobna brunetka o lekko skośnych, ciemnych oczach. Uściskała wylewnie dziewczynę, a Janusza cmoknęła w policzek. - Załatwiliście wszystkie formalności?

- Prawie. - Elżbieta nie mogła się nie uśmiechać do tych życzliwych ludzi. - Nie miałam metryki chrztu, ale ksiądz proboszcz zgodził się poczekać parę dni. Zadzwoń do ojca, żeby mi ją wysłał natychmiast.

- To na kiedy mamy się szykować?

- Dwudziestego czwartego, w sobotę.

- Ale się wam spieszy! - zarechotał pogodnie Marek. - Chciałbym zobaczyć minę Jerzego. Przecież on nad swoim małżeństwem zastanawiał się pięć lat. A wy... szast prast i gotowe.

- Elu, a co z suknią? Zdążysz? - zainteresowała się Maria.

- Tak. Wybrałam dzisiaj. Tak długo ciągał mnie po sklepach, aż kupiłam wszystko, co trzeba. Już nóg nie czuję.

- To może zostańcie na obiedzie.

- Może innym razem. Dzisiaj Zofia z pewnością szykuje coś nadzwyczajnego z okazji jego powrotu.

- A ja - dodał Janusz, nie spuszczać wzroku z Elżbiety -

zamierzam wykorzystać dzisiejsze wolne popołudnie i zabrać Matyldę i Elę na wyspę.

- Tylko Dina zostawcie w domu! - śmiała się Maria. -

Zamierzał zaprzyjaźnić się z naszym gąsiorem i teraz wylizuje wszystkie potłuczenia. Wystarczy mu nieszczęść jak na jeden dzień. Chyba że chcecie go utopić.

Pies zrezygnował z popołudniowej wycieczki. Najwyraźniej rzeczywiście miał dosyć i nie uśmiechała mu się przejażdżka łódką. Za to zupełnie nieoczekiwanie mieli kłopot z Matyldą. Stwierdziła, że Elżbieta ją nauczyła pływać, więc kamizelka nie jest jej potrzebna. Musieli zagrozić, że zostanie w domu. Siedziała teraz obok Elżbiety w łódce naburmuszona i nie odzywała się ani słowem. Janusz też milczał. Uderzając ciężkimi wiosłami o wodę, obserwował Elżbietę, która z zachwytem rozglądała się dookoła. Z zatoczki przy domu widziała tylko fragmenty jeziora, dopiero teraz dostrzegła, jak było rozległe. Niezbyt szerokie, rynnowe, rozciągało się wzdłuż na kilkanaście kilometrów. Większość jego brzegów zarośnięta była gęstymi lasami, które odbijały się w wodzie, zmieniając jej kolor na ciemnoszmaragdowy. Wokół łódki woda oświetlona była słońcem i jego promienie załamywały się na powierzchni w srebrno-złote refleksy. Jednak w cieniu, rzucanym na łódkę, toń jeziora fascynowała ciemną, zamgloną, tajemniczą zielenią. W oddali, blisko brzegu, majestatycznie przepływała rodzina łabędzi.

Kołyszące się na falach perkozy nagle zanurzały się błyskawicznie, by wypłynąć po dłuższym czasie o wiele metrów dalej. Janusz rytmicznymi pociągnięciami wiosła kierował łódkę do niewielkiej wysepki, na której bielity się nieliczne pnie brzoź. Wpłynęli w wąski przesmyk między wszechobecnymi trzcinami i dobili do brzegu. Wskoczył pierwszy i wyciągnął dziób łodzi na brzeg.

- Co tu będziemy robić? - zapytała Matylda.

- Pokażę wam wysepkę, wykąpiemy się, zjemy podwieczorek, poleniuchujemy trochę i wrócimy do domu.

- A co to za wyspa? - Matylda z ciekawości zapomniała, że była obrażona. - Nigdy tu nie byłam.

- To będziesz pierwszy raz. Chodź, chraszczu. - Posadził sobie dziecko na ramionach. - Tylko bez żadnych krzyków, jasne?

- Ta wyspa jest dla ciebie ważna? - zapytała Elżbieta.

- Tak. Jako dziecko wziąłem ją w posiadanie i bawiłem się tu w Robinsona. Potem stała się miejscem, gdzie mogłem być sam ze sobą. Uciekałem tu, kiedy nie mogłem już wytrzymać.

- Przed Ireną?

- Przed nią też. Jesteś pierwszą osobą, którą tu przywiozłem. A teraz cicho, moje panie. Ani słowa.

Na środku wysepki było niewielkie źródło. Woda wyciekała z niego wąską strugą, by parę metrów dalej wsiąknąć w złoty piasek. Dookoła źródła widoczne były łachy w piasku, kępy trawy i nieliczne krzewy. Na tym niewielkim terenie przechadzały się ptaki. Wydały się Elżbiecie znajome, podobne do bażantów. Ale ich upierzenie, zamiast mieszaniny brązu, czerni i szarości, połyskiwało złotem.

- Co to za ptaki? - zapytała szeptem, żeby ich nie spłoszyć.

- Bażant złocisty. Piękny, prawda?

- Hodujesz bażanty?

- Nie. One tu były zawsze. Nie mam pojęcia, skąd się wzięły. Może pierwsza para uciekła z ZOO? Może hodowano je przed wojną w jakimś majątku? Naprawdę nie wiem. Odkryłem je tutaj przed wielu laty. I zawsze tu są. Dokarmiam je zimą, a latem odwiedzam od czasu do czasu.

- Myślisz, że nikt o nich nie wie?

- Nie mam złudzeń. Ale ludzi tu niewiele i nie lubią obcych.

Jeżeli nawet ktoś zakłusuje, to jak dotąd nie zagroziło to ptakom.

Matylda zaczęła się wiercić na jego ramionach. Najwidoczniej za długo trwała w bezruchu.

- Dasz mi takiego ptaszka?

- A co z nim zrobisz? One nie są do zabawy.

- A do czego?

- Do oglądania.

- E!! To ja się już naobejrzałam.

Wrócili na brzeg. Elżbieta rozłożyła koc i usiedli na nim, obserwując Matyldę, która pluskała się w wodzie, zbierała kamyki, robiła bańki z piasku, a potem stawy dla rybek, od czasu do czasu każąc się podziwiać. Janusz bawił się włosami Elżbiety, nie mógł się powstrzymać, żeby jej nie dotykać. Ona widocznie miała ten sam problem, bo oparła się o niego i położyła dłoń na napiętych mięśniach uda. Czuła pod plecami rozgrzaną skórę muskularnej piersi, a gęste

kręcone włosy łaskotały ją podniecająco. Otoczył ją ramionami, jakby chciał mieć jeszcze bliżej przy sobie i szepnął ledwie dosłyszalnie:

- Zrobiłem cholerne głupstwo, Eliżko. Trzeba było zostawić Matyldę z Dinem i przywieźć tu tylko ciebie. Kąpałobyśmy się nago w tej zatoczce, a potem położyłbym cię na kocu, kochał powoli, bardzo powoli w tym sierpniowym słońcu.

- Będziemy to musieli odłożyć. - Głos jej zadrżał, bo wyobraziła sobie ich splecione namiętnością nagie ciała, oświetlone promieniami popołudniowego słońca.

- To niesprawiedliwe. - Uśmiechnął się. - Dwoje dorosłych ludzi uzależnionych od małego dziecka.

W tej właśnie chwili Matylda podbiegła do nich, wołając:

- Do wody!! Chodźmy do wody! Tatuś będzie wielorybem, dobrze!?

- Eliżko, zabierz ją, zajmij czymś, ja... - Janusz miał minę raczej niepewną. - Przydałby mi się zimny prysznic.

Elżbieta weszła z Matyldą do wody i skłoniła ją do demonstrowania pływackich umiejętności. Janusz, rozpryskując wodę, przebiegł płyciznę i rzucił się w zieloną głębię. Dopiero po dwudziestu minutach odważył się do nich dołączyć. Ponad głową Matyldy rzucił porozumiewawcze spojrzenie. Zrozumiała, wieczór był coraz bliżej.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Tłum ludzi kłębił się wokół rozstawionych w ogrodzie stołów. Słysząc było gwar rozmów, brzęk szkła, szczęk sztucców. Przy zbitym z desek parkiecie kilkusobowa orkiestra przygrywała do tańca. Elżbieta krążyła wśród gości w swojej białej sukni, z kieliszkiem szampana w dłoni. Mieli już za sobą życzenia, kwiaty i prezenty. Najwspanialszy prezent przyniósł adwokat Janusza. Mecenas Wilczyński z szerokim uśmiechem wręczył im pismo z sądu, ustanawiające Elżbietę prawną opiekunką Matyldy. Sprawę adopcji można było ruszyć choćby jutro. Większość obecnych, świętecznie wystrojonych ludzi, miała jej jeszcze coś do powiedzenia. Każdy czuł się zobowiązany do jakiejś sympatycznej uwagi, aluzji, czasem nawet do niezbyt wybrednego żartu. Podnosiła właśnie do ust kieliszek z musującym winem, gdy ktoś delikatnie stuknął go swoim. W bladoniebieskich oczach Jerzego zobaczyła cień uśmiechu.

- Oficjalne życzenia mamy już za sobą. Teraz proszę przyjąć moje przeprosiny.

- Przeprosiny?! Za co? - zdziwiła się Elżbieta. Powiedzmy ogólnie, za błąd w ocenie pani charakteru.

- Mówmy sobie po imieniu, dobrze? I wyjaśnij mi, co masz na myśli.

- Uważałem i nie ukrywałem tego zresztą, że Janusz robi błąd zapraszając cię tutaj. Rozwijałem przed nim najczarniejsze perspektywy tego kroku.

- Mam rozumieć, że zmieniłeś zdanie?

- Diametralnie. Wspaniale do siebie pasujecie. I dzięki temu nareszcie będzie miał rodzinę, na jaką od dawna zasługiwał.

- Dziękuję. Nie wiesz, ile dla mnie znaczą twoje słowa.

- To mój przyjaciel. Wierzę, że będzie z tobą szczęśliwy.

I uśmiechnął się do niej szeroko i serdecznie. Ten uśmiech zmienił jego twarz i sprawił, że nagle Jerzy wydał się Elżbiecie bardzo sympatyczny. Pełna wewnętrznej radości rozejrzała się dookoła. Wszystko było w najlepszym porządku i toczyło się przewidzianym trybem. Ojciec nie odstępował na krok matki, by ta nie wyskoczyła z jakąś idiotyczną uwagą. Zofia ciągle miała coś do zrobienia w kuchni, chociaż matka i siostra Janusza starały się jej pomagać, a Maria i Teresa biegały z brudnymi naczyniami z własnej i nieprzymuszonej woli. Janusz też krążył wśród gości, ale często ponad głowami

gwarnego tłumu szukał oczu Elżbiety. Ona też ciągle ściagała go wzrokiem. Tęskniła za nim, za jego bliskością, brakowało go nawet wtedy, gdy odchodził choćby na chwilę. Od dzisiejszej nocy będzie się codziennie budzić w jego objęciach, ta cudowna perspektywa pozwalała jej przetrwać całą weselną uroczystość, mimo zmęczenia i obolałych stóp. Obowiązkowe tańce miała już za sobą, za chwilę czekają ją tradycyjne oczepiny i będzie mogła pójść się przebrać.

Zofia stała przy oknie w kuchni i przez chwilę obserwowała gości, czekając aż zagotuje się woda na kolejną partię kawy i herbaty. Śledziła w tłumie wiotką postać dziewczyny w białej sukni, barczystą sylwetkę Janusza w ciemnym garniturze, z pękiem róży ze ślubnego bukietu w klapie. Widziała ich spojrzenia rzucone ponad głowami zaproszonych ludzi, porozumiewawcze i stęsknione uśmiechy. Widać było, że zależy im na sobie, że łączy ich coś ważnego, istotnego. Nareszcie mogła odetchnąć z ulgą, kochała przecież Janusza jak własnego syna. Cierpiała razem z nim, gdy Irena niszczyła jego życie, a teraz chciała się cieszyć jego szczęściem. Nie mogła tylko do końca uwierzyć, że szczęście tego chłopaka nosi imię siostry Ireny. Wydawało się to zupełnie niewiarygodne. Wlała wodę do stojących na tacy szklanek i napełniła powtórnie czajnik. Krystyna zabrała pełną tacę, ale druga taka sama czekała na wrzątek. Zofia usiadła za stołem i oparła się wygodnie. Bolały ją nogi i kręgosłup dawał się we znaki. To chyba ostatnie takie przyjęcie, które musi przygotować sama. Teraz będzie miała Elżbietę do pomocy, która w kuchni czuje się jak u siebie.

Podniosła głowę na widok wchodzącej osoby. Matka Elżbiety, elegancka i zadbana, w sukni w kolorze wrzosu, też była zmęczona. Usiadła obok niej i z ulgą zsunęła pantofle ze stóp.

- Piękne wesele. Podziwiam panią, że dała pani sobie ze wszystkim radę.

- Miałam mnóstwo chętnych do pomocy. U nas ludzie są uczynni.

- Tak, widzę. Chociaż wolę mieszkać u siebie, tutaj tak pusto, daleko od ludzi. Nie wytrzymałabym. Wcale się nie dziwię Irusi.

- Przecież nikt jej tu siłą nie ciągnął. Z jej przyjazdu tylko nieszczęście i obraza boska.

Och, bo Irenka to wieczna romantyczka. Ona kochała życie i była taka niepraktyczna. Nigdy nie myślała o przyszłości. I stąd takie nieszczęście.

- Latała, latała, aż se wylatała - mruknęła Zofia pod nosem, ale nie chciała się spierać. W końcu matka ma prawo idealizować własne dziecko. Zwłaszcza, że to dziecko nie żyje.

- To był taki słodki aniołek. - Pani Barbara wsłuchiwała się w siebie rozmarzona. - Wszyscy ją kochali. Na jej widok chciało się cieszyć i śmiać.

- Tylko że ona nie kochała nikogo.

- Mnie kochała. I na pewno by mnie nie opuściła, gdyby tylko mogła.

- A czy nie od pani czasem uciekła? - zapytała Zofia zgryźliwie.

- Młode to i głupie. Nie to, co Elżbieta. Nigdy nie rozumiałam, jak może być tak wyrachowana. Zawsze akurata i dokładna, realistka straszna. Wszystko zaplanowane, przemyślane i załatwione.

- I zupełnie bez fantazji przyjechała zająć się porzuconą córką tej swojej egoistycznej siostrzyczki, rzuciła miasto i została żoną Janusza? - Ironia w głosie Zofii nie była już ukrywana.

- Musiała mieć w tym swój cel. I na pewno wszystko starannie zaplanowała. Przy tym swoim mężu to ona kasę trzymała. I nie pozwalała mu na żadne fantazje. Nic dziwnego, że tak szybko zdecydowała się na drugie małżeństwo.

- Uważa pani, że miała jakiś plan?... - Zofia zaczynała być przerażona. Nigdy by dziewczyny o nic nie podejrzewała, ale chyba matka zna ją lepiej. W końcu Elżbieta pojawiła się niecałe dwa miesiące temu. Zofii się spodobała, ale czy nie mogła czegoś ukrywać, udawać?

- To oczywiste. Przecież wystarczy spojrzeć na ten dom. Od razu widać, że to są ciężkie pieniądze. Sama by nigdy do tego nie doszła. A tak załapała się na gotowe. Urządziła się w życiu, nie ma co.

- Przecież zrobiła to dla Matyldy.

- Akurat. Gdyby chciała mieć własne dziecko, to by je miała.

Cudze jej potrzebne? Co z tego, że siostry. Zresztą mogła ją zostawić Januszowi albo zabrać ze sobą. Ale przyjechała, rozejrzała się i wiedziała, co zrobić. Do tego jeszcze chłopak przystojny, młody. Warto było. Od lat szukała takiej okazji.

- Skąd pani to wie?

- A co, nie widziałam, jak Rysia traktowała? Ciągłe mu robiła awantury o pieniądze. Aż mnie się biedaczek często skarżył. Nawet na

piwo czasem nie miał. W końcu doprowadziła do rozwodu, że niby to on chciał, ale ja tam swoje wiem.

- To niemożliwe.

- A możliwe, możliwe. Jeszcze teraz chciał do niej wrócić. Ale ona już się Janusza złapała i o Ryśku nie chciała słyszeć. - Pani Nowińska wsunęła pantofle na nogi, jakby przeczuła wejście męża, który niemal w tej chwili stanął w drzwiach kuchni.

- Szukałem cię, Basiu. Miałaś być cały czas przy mnie. Co tu właściwie robisz?

- A porozmawialiśmy sobie miło z panią Zofią o Elżusi. Przecież nic się nie stało.

- Nie wiem. - Pokręcił niecierpliwie głową. - Twoje fantazje bywają niebezpieczne. Chodź już lepiej stąd.

Pani Zofii łzy stanęły w oczach. Jak to możliwe, żeby się aż tak pomylić? Ta Elżbieta, taka na pozór miła, sympatyczna, uczuciowa i opiekuńcza, jest osobą interesowną i myśli tylko o pieniądzach. Rzeczywiście, tak szybko się zakręciła koło Janusza i zgodziła na ślub. A chłopak był taki naiwny. Od razu dał jej kluczyki do samochodu. I nie próbował ukrywać swojej sytuacji finansowej. Od początku wszystko wiedziała. Boże, jakiego Janusz ma pecha w życiu. I niczego się nie spodziewa, nie domyśla. I tylko ona, Zofia, mogłaby go ostrzec. A może lepiej nic nie mówić? O nie, już raz tak zrobiła. Ukrywała pijaństwa Ireny, jej wypadki do miasta, późne powroty, aż w końcu zrobiło się za późno. Stracił przez nią kilka lat życia. Ale to ona była winna, bo nie ostrzegła go w porę. Drugi raz nie popełni tego samego błędu. Zepsuje mu całą uroczystość, ale to w jego własnym interesie. Musi się dowiedzieć, jaką popełnił pomyłkę. Biedny chłopak. Biedna Matylda. Niestety, tylko tyle może dla niej zrobić, otworzyć Januszowi oczy. Ciężkim krokiem, jakby nagle postarzała się o kilka lat, podeszła do kuchenki i zdjęła z gazu gwizdzący czajnik.

Elżbieta przejrzała się w lustrze. Suknia, którą wybrali z Januszem, była przepiękna, ale zbyt ciężka i kępowała ruchy. Nareszcie mogła się przebrać. Lekka sukienka ze złotawej etaminy była o wiele wygodniejsza, poza tym odpowiednia na to gorące sierpniowe popołudnie. Poprawiła jeszcze włosy i przez chwilę patrzyła na swoją prawą dłoń, na której lśniła złota obrączka i zaręczynowy pierścionek ze szmaragdem. Była jego żoną, od dzisiaj

na zawsze. Teraz musi tylko czekać. Udowodni mu swoją miłość i w końcu on też ją pokocha...

Lekko zbiegła po schodach i nagle zatrzymała się. Drzwi kuchni były uchylone i dobiegały stamtąd podniesione głosy. Zofia i Janusz się kłóca? Ale o co? Zawsze żyli w najlepszej zgodzie. I nagle taka awantura, do tego w czasie wesela? Nigdy nie lubiła podsłuchiwać, ale tym razem ciekawość zwyciężyła. Tym bardziej, że usłyszała swoje imię.

- Nie rozumiem, dlaczego masz coś przeciw Elżbiecie. Wydawało mi się, że ją lubisz.

- I mnie się tak wydawało. Janusz, synku, ona nas nabrała.

Wszystkich oszukała, nie rozumiesz?

- Ona nikogo nie nabrała. Jest właśnie taka, na jaką wygląda.

Słodka, uczuciowa, uczciwa, kochana.

- Tylko udaje. A tak naprawdę chodzi jej o pieniądze.

- To nieprawda. Pieniądze jej nie interesują.

- Jej matka mówi co innego. A chyba ona zna ją dłużej. No i cała historia z mężem. Rozwiodła się z nim, bo za mało zarabiał.

- Jej mąż, były mąż, jest małym, prymitywnym facetem. Oszukiwał ją, okłamywał, wykorzystywał i w końcu zostawił, kiedy był jej najbardziej potrzebny.

- Kiedy urodziła martwe dziecko, tak? Tylko dlaczego jej matka uważa, że ona wcale nie chce mieć dzieci?

- Jej matka jest sensatką, dla której świat się skończył na młodszym dziecku. I sędzę, że tak naprawdę własnych dzieci nigdy nie znała. Zwyczajnie ich nie rozumiała.

- Skąd ty możesz mieć taką pewność co do niej? Znasz ją niecałe dwa miesiące. To za mało, żeby poznać człowieka.

- Cioteczko, nie chciałem ci tego mówić, ale w tej sytuacji muszę. Na moją prośbę biuro detektywistyczne sprawdzało ją przez trzy miesiące. Napisałem do niej dopiero wtedy, kiedy dowiedziałem się już wszystkiego i miałem pewność, że będzie dla Matyldy wspaniałą matką. Dostałem dokładny raport, rozumiesz? Z kim się przyjaźniła, co robiła, jak się zachowywała. Niemal dzień po dniu, odkąd skończyła osiemnaście lat. O jej rodzinie, mężu, znajomych.

- Jesteś pewien?

- Absolutnie!

Elżbieta stała jak skamieniała, trzymając rękę na poręczy schodów. Tego się nie spodziewała. Jak on mógł? Jak mógł jej to zrobić? Kłamca, oszust, wykorzystał ją dokładnie tak samo jak Ryszard. Nie, dużo gorzej. Wiedziała, że jej nie kocha, ale myślała, że będzie wobec niej uczciwy. Do Ryszarda nie miała zaufania, natomiast jemu wierzyła bezkrytycznie. Zaufała mu, bo się zakochała, a on? Nie daruje mu tego. Szarpnęła drzwi do kuchni.

- Jak mogłeś!? Ufałam ci! Wierzyłam, że jesteś szczerzy... - Janusz drgnął, zaskoczony jej nagłą obecnością.

- Ale przecież byłem.

- Nie byłeś! Byłeś nieuczciwy! Sprowadziłeś mnie tutaj i pozwoliłeś mi uwierzyć, że się poznajemy dla dobra Matyldy. - Cała się trzęsła, a jej ręce wykonywały nerwowe, nieskoordynowane ruchy.

- Eliżko, proszę cię, nie tak!

- Właśnie tak. Zaplanowałeś sobie wszystko od początku do końca. Byłam pionkiem w twojej grze, prawda?

- Nie mogłem przewidzieć, że za mnie wyjdiesz. - Zarzuty Elżbiety wydawały mu się wyolbrzymione, ale nie pozbawione podstaw. Nie miał w tej sprawie zupełnie czystego sumienia, chociaż inaczej postąpić nie mógł.

- Nie wierzę ci! Od początku mną manipulowałeś! Ta twoja wielkoduszność! Nie będę cię naciskać, sama zdecydujesz, wolę, żeby Matylda była z tobą... I doskonale wtedy wiedziałeś, jaka będzie moja reakcja.

- Po prostu ci zaufałem.

- Nieprawda! To ja ci zaufałam, niczego o tobie nie wiedząc. Ty bez skrupułów wykorzystałeś swoje atuty w tej grze. Nie dałeś mi żadnej szansy. Oszukałeś mnie, tak jak Ryszard.

- Nie oszukałem cię! - Elżbieta nie zwróciła uwagi na drżący w jego głosie ton rozpacz. - Nie mógłbym cię oszukać.

- No to nie powiedziałeś mi prawdy. - Wzruszyła ramionami. - Dla mnie na jedno wychodzi.

- Nie miałem innego wyjścia.

- Miałeś! Mogłeś mi to powiedzieć już dawno. Wtedy mogłabym zrozumieć, teraz nie!

- Eliżko, zrozum... - Janusz usiłował ją przekonać, coraz bardziej przerażony brakiem przekonujących argumentów. - Nie chciałem,

żebyś się dowiedziała. Było mi przykro, że musiałem się grzebać w twoich prywatnych sprawach. Ale robiłem to dla dobra Matyldy.

- Właśnie. Wszystko dla dobra Matyldy. Ten ślub i cała ta szopka. Nie potrzebujesz żony, tylko podstawy prawnej do opieki nad Matyldą. No więc ją masz, ale pamiętaj, z podstawą prawną się nie sypia.

- Eliżko!

- I nie mów do mnie Eliżko! Tak mówią tylko ci, którzy mnie kochają. Dla ciebie jestem Elżbieta. Wrócę do gości i będę zachowywać się, jak należy, niech mają złudzenia, ale pamiętaj, między tobą a mną jest tylko małżeństwo z wyrachowania. Nic więcej.

- Poczekaj! - Janusz zatrzymał ją w drzwiach. - Wysłuchałem twoich racji, bądź uprzejma wysłuchać moich. Musiałem wiedzieć, kim jest siostra Ireny. Po tym, co przeżyłem, nie mogłem ryzykować. Miałem wybór, albo ci zaufać, albo wystąpić ze sprawą o adopcję. Sprawą wątpliwą i bardzo długą. Byłem wobec ciebie uczciwy od początku. Do niczego cię nie zmuszałem, wszystkie decyzje podejmowałaś sama. Gdybyś postanowiła zabrać Matyldę ze sobą, nie odezwałbym się ani słowem. Być może popełniłem błąd. Nie wiem. Ale ty postanowiłaś pod mało ważnym pretekstem zepsuć wszystko, co było między nami. Ja też mam prawo rozumieć to po swojemu. Masz Matyldę, dom i stabilizację, ja już nie jestem ci potrzebny, prawda?

- Nigdy tak nie myślałam!

- Nie wiem, co myślałaś. O cokolwiek mnie oskarżysz, nie będę umiał się wybronić. Znam tylko fakty z twojego życia, nie myśli. Nawet jeśli kiedyś miałem nadzieję je poznać, to dzisiaj widzę, że to niemożliwe. Nigdy dotąd nie byłaś mi tak obca.

- Właśnie. Obca! Tylko tyle dla ciebie znaczę! - Elżbieta wybiegła z kuchni i weszła po schodach na górę. Jeszcze tak niedawno promieniała szczęściem. Była żoną Janusza i miała nadzieję na jego miłość. Oddawała mu się z radością i czuła, że on też odnajduje się w ich bliskości. Łączyło ich dziecko i tysiące codziennych drobiazgów. Mówił jej o swoich prywatnych sprawach, powtarzał jej tajemnice, których nikt inny nie znał. I nagle okazało się, że to wszystko opierało się na kłamstwie. Ze swojego starcia z Januszem zrozumiała jedno, dla niego jest obca. Nie może liczyć na

żadną wzajemność, miłość, szczęście. Zresztą niepotrzebnie się łudziła. Przecież od początku proponował jej wyłącznie małżeństwo z rozsądku. I tak niewiele to dla niego znaczyło, że godził się na rozwód po dwóch latach. Nie pierwszy to cios, jaki wymierzyło jej życie. Ale przynajmniej jest Matylda, dla niej zachowa twarz i będzie udawać, że wszystko jest w porządku.

Janusz z rozpaczą w oczach odwrócił się od Zofii. Jakieś fatum nad nim ciąży? Już wydawało mu się, że znalazł kobietę swoich marzeń, zatrzymał ją przy sobie. Miał nadzieję, że przywiąże się do niego, z czasem może pokocha. Tymczasem zawaliło się wszystko. Czuł się oszukany. Elżbieta znalazła sobie pretekst do odsunięcia go od siebie. Tak, jakby niedawna bliskość przestała jej być potrzebna. I to bolało najmocniej.

Zofia przyglądała mu się z uwagą. Ściągnięte brwi, bruzdy na twarzy. Przecież nie wyglądał tak, od czasu gdy... Nagle zrozumiała.

- Kochasz ją? I ja wszystko zepsułam?

- Nie wiem, czy można było coś zepsuć. Ona mnie nie kocha. I nic na to poradzić nie mogę.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

To było nie do wytrzymania. Janusz z hukiem zatrzęsął drzwi do swojego gabinetu. Znowu nie udało się z nią porozmawiać. Cały dzień miał zajęty pracą, a po południu Elżbieta była nieuchwytna. Co dzień miał nadzieję, że zastanie ją w salonie. Dzisiaj także jej tam nie było, jak co wieczór od dnia ślubu. Od całych dwóch tygodni. Chciał wszystko wyjaśnić, wytłumaczyć, ale nie dała mu żadnej szansy. Mógł zrozumieć, że poczuła się dotknięta, ale po przemyśleniu powinna zaakceptować jego racje. Tymczasem ten przekłety upór zbijał go z tropu. Janusz zupełnie nie pojmował przyczyn, dla których poczuła się tak głęboko zraniona i rozczarowana. Przepęniała go bezsilna złość, głównie na jej matkę. Gdyby nie przeprowadziła z Zofią tej bezsensownej rozmowy, gdyby uprzedził Zofię... Kiedy pół godziny później natknął się na matkę Elżbiety, ta właśnie z pełnym przekonaniem i zupełnym spokojem opowiadała o tym, jaki wpływ na jej niezwykle uczuciową córkę wywarło małżeństwo z zupełnie nieodpowiedzialnym człowiekiem. Tak, jakby rozmowy z Zofią nigdy nie było. Cóż wtedy mógł powiedzieć, wycofał się bez słowa. Ale tego, co się stało, nie dało się już odwrócić. W rezultacie byli małżeństwem tylko na papierze, a okres cudownej bliskości sprzed ślubu jakby nigdy nie istniał. Brakowało mu wieczornych rozmów, dyskusji, żartów. Chwil przed telewizorem. Wspólnych zabaw z dzieckiem i ogłupiałym psem. Przede wszystkim brakowało mu spędzanych razem nocy. Budził się i szukał jej obok siebie, dopóki nie dotarło do niego, że naprawdę jest sam. Czasem wydawało mu się, że gdyby mogli spędzić w swoich objęciach choćby kilka chwil, wszystko wróciłoby do normy. Niestety, nie miał odwagi zapukać do drzwi jej pokoju. Gdyby go wyrzuciła, nie potrafiłby się z tym pogodzić. Stał przy oknie i patrzył na zalane księżycowym blaskiem jezioro. Co jeszcze można zrobić? Jak można ją przekonać?

Pukanie do drzwi obudziło go z zamyślenia. Kto to może być? O tej porze? Klamka poruszyła się i do pokoju weszła Elżbieta. Zatrzymała się na chwilę w progu. Przyglądał się jej w milczeniu. Twarz jej pobleadła, wyszczuplała, miała podkrążone oczy. Nie wyglądała dobrze. Życie w ciągłym napięciu nie służyło żadnemu z nich.

- Czy mogę? - zapytała prawie szeptem.

- Wejdz, proszę. Cieszę się, że cię widzę. Ostatnio jakoś nie było okazji.

- Chciałam z tobą porozmawiać.

- Jeśli chcesz zabrać Matyldę i wyjechać, to najpierw musisz przeprowadzić rozwód! - rzucił ze złością i wyraźną obawą.

- Nawet o tym nie myślałam. Dobrze wiesz, że nie mogłabym jej tego zrobić.

- Natomiast mnie tak, prawda? Więc proszę, mów, o co chodzi.

- Miałam dzisiaj telefon ze szkoły. Zrezygnowałam z etatu, bo wolę być w domu z Matyldą, przynajmniej póki nie pójdzie do pierwszej klasy. Ale dyrektorka prosiła, żebym wzięła chociaż te osiem godzin chemii. Co o tym sądzisz?

- Nic.

- Jak to nic? - Była wyraźnie zaskoczona.

- Po prostu. Nie będę wyrażał swojego zdania, bo znów powiesz, że tobą manipuluję. Nie będę się więcej narażał na te zarzuty.

- Ale to zupełnie co innego.

- Wybacz, nie widzę różnicy.

Przez chwilę wpatrywała się w niego w milczeniu. Bruzdy wokół nosa i ust, zmarszczki na czole, poszarzałe oczy. Kiedy zaczął znowu tak wyglądać? Dlaczego? Wydawało jej się, że jest bliska znalezienia odpowiedzi, kiedy zadzwonił telefon. Podniósł słuchawkę i dał jej ręką znak, żeby nie wychodziła. Właściwie niepotrzebnie, wcale nie chciała stąd wyjść. Tak jej brakowało jego obecności, głosu, dotyku, zapachu. Po chwili dopiero zaczęły dochodzić do niej strzępki rozmowy.

- Jak to odmówiła?... Przecież to raptem dwie godziny pracy, a pensję proponowałeś uczciwą. No to możemy ją przywozić. Soboty i niedziele?... To co ona sobie wyobrażała, że to przychodnia? Jurek, przecież nie możemy ruszyć produkcji bez laboranta. Mowy nie ma, to musi być specjalista, inaczej sanepid dobierze nam się do skóry... Musimy mieć laboratorium w ciągu tygodnia. No dobrze, jutro sam z nią pogadam.

Położył słuchawkę i potarł dłonią twarz. Zastanawiał się nad czymś i jeszcze mocniej zmarszczył brwi. Pewnie jakiś problem przy rozruchu, nie wiedziała jaki. Od dwóch tygodni nie rozmawiali ze sobą.

- Coś poważnego? - Odważyła się wreszcie zapytać.

- Poważnego!?! - Zaśmiał się sarkastycznie. - To raczej zupełnie niepoważne. Tyle pracy, starań i nakładów, a tu wszystko na nic, bo nie ma kto robić analiz. Laborantka z ośrodka zdrowia odmówiła, bo jej się nie chce pracować w soboty i niedziele.

- A gdyby kogoś przeszkolić?

- To musiałyby potrwać. Przygotowania zakończymy we wrześniu. Od pierwszego października można by ruszyć z produkcją. W przeciwnym razie będziemy ponosić straty. Nie wzięliśmy pod uwagę takiego drobiazgu.

- A nie pomyślałeś o mnie?

- Dlaczego o tobie?

- Jestem chemikiem. Na studiach uczono mnie paru rzeczy. Nawet interesowałam się technologią żywności.

- Zrobiłabyś to dla nas?

- Oczywiście. Z wielką przyjemnością.

Nie mógł wiedzieć, jak wielką radość sprawi jej wspólna praca. Miała do niego żal, nie mogła pozbyć się pretensji, nie potrafiła pogodzić się z tym, że jej nie kocha. Ale tęskniła. Rozsądek i urażona duma nakazywały zachować dystans, a równocześnie tak bardzo chciała być blisko niego, chociaż patrzeć, rozmawiać. Nie mogła pogodzić ze sobą tych tak sprzecznych pragnień. Wspólna praca miała pozory kompromisu.

Od następnego tygodnia zaczęła bywać w wytwórni. Musiała przygotować niewielkie laboratorium, zamówić sprzęt, ustawić meble, poukładać wszystko. Nie było z tym zbyt wiele pracy, ale lubiła tam przebywać. Wiedziała, że gdzieś w pobliżu jest Janusz. Czasem słyszała jego głos. Zdarzało się, że zaglądał do jej pokoiku, chociaż robił to stanowczo zbyt rzadko. Przestała przed nim uciekać, to nie miało sensu.

Marek zaskoczył ją, gdy siedziała bezmyślnie przy biurku.

- Co się z wami dzieje, Elżbieto?

- Dlaczego uważasz, że coś się dzieje? - była zdumiona jego przenikliwością. Przy ludziach starali się zachowywać, jakby nic się nie stało.

- Nie oszukasz mnie. Zresztą nikogo nie udało wam się nabrać. Nawet Jurek coś zauważył.

- Ale przecież my... staramy się...

- Tak jest, nawet bardzo. Tak bardzo chcecie coś ukryć, że zapomnieliście jeszcze o czymś. Przed ślubem byliście szczęśliwi. Widać było, że coś was łączy. Otaczała was aura radości i jakiejś jedności, wspólnoty.

- I to wszystko było widać? - zapytała, ze smutkiem opuszczając głowę.

- Na każdym kroku. A teraz snujecie się bez uśmiechu, prawicie sobie oziębłe, uprzejme słowa, trzymacie się z dala od siebie. I kiedy wam się wydaje, że nikt nie widzi, rzucacie spojrzenia pełne smutku i tęsknoty. Janusz mi mało wczoraj nie przyłożył, kiedy go o to pytałem.

- Nic nie rozumiesz.

- Właśnie chciałem zrozumieć. Powiedz mi wreszcie, co się wtedy stało.

- To nawet wiesz kiedy?

- W dzień ślubu. Kiedy poszłaś się przebrać. Weszliście do domu, jak zakochana młoda para, a wyszliście stamtąd jak obcy sobie ludzie. O co wam poszło? Wyrzuć to z siebie, dziewczyno.

- Dowiedziałam się... Nie uwierzysz... Janusz kazał przeprowadzić na mój temat dochodzenie. Śledził mnie, rozumiesz?

- Czy uważasz, że nie miał do tego prawa? Przecież bał się o Matyldę i chyba o siebie też. Nie chciał ryzykować.

- To mogę zrozumieć. Ale on wszystko ukrył przede mną. Ściągnął mnie tutaj, wiedząc o mnie więcej niż ja sama. Sterował mną i manipulował. Potrafił przewidzieć, co zrobię. A ja... Nie dał mi równych szans, ja nic o nim nie wiedziałam. Po prostu mnie oszukał!

- Jesteś tego pewna? Przemyśl to. Nie powiedział ci o tym, że cię śledzi, bo może właśnie przypuszczał, że poczujesz się dotknięta... może, kiedy się z tobą zetknął osobiście, było mu wstyd. Bo przecież z raportu poznał tylko fakty, a ciebie dopiero wtedy, kiedy tu przyjechałaś. Może zaskoczyło go to, co zaczął poznawać po twoim przyjeździe?

- Ale i tak miał nade mną przewagę.

- Nie jestem pewien, czy akurat on. Wiedział o tobie dużo, ale nigdy nie widział cię w twoim własnym środowisku. Natomiast ciebie zaprosił do swojego domu, i to nie na dwa, trzy dni, tylko na całe wakacje. Mogłaś go obserwować, mogłaś z nim rozmawiać, stykałaś

się z jego znajomymi, przyjaciółmi. Czy kiedykolwiek zataił coś przed tobą, okłamał cię, oszukał?

- No... właściwie... Długo mi nie mówił o Irenie.

- A co byś o nim pomyślała, gdyby zaraz pierwszego dnia powiedział ci, że twoja siostra była pozbawioną macierzyńskich, zresztą w ogóle jakichkolwiek uczuć dziwką? Zręczną manipulatką, która potrafiła go zmusić, by robił to, co chciała?

- Masz rację. Pomyślałabym, że się na niej mści.

- Obydwoje pewnie macie powody, żeby bać się uczuciowego zaangażowania. I chyba tu tkwi przyczyna, że mu nie wierzysz. Tylko, wiesz, on jest moim przyjacielem od piętnastu lat. I zawsze mogłem na nim polegać.

- Chcesz mi powiedzieć, że dotknął go mój brak zaufania? Te wszystkie moje zarzuty?

- A jak sądzisz? Przecież na tyle zdążyłaś go poznać.

- I co ja mam teraz zrobić? - Ukryła twarz w dłoniach.

- Tego ci nie powiem. Myślę tylko, że szczerą rozmową mogłaby wam pomóc. - Zawahał się chwilę. - To ja już sobie pójdę. Przepraszam, że się wtrąciłem.

- Dziękuję, że to zrobiłeś. Może długo jeszcze nie rozumiałabym swojego błędu.

- To spróbuj go teraz naprawić.

- Oby to było takie proste - wyszeptała w przestrzeń, gdy zamknęły się za nim drzwi. Nie jest łatwo zasypać przepaść, która oddzieliła ich od siebie. Tym bardziej, że znali się zbyt krótko. To prawda, że przez jakiś czas byli sobie bliscy, ale ta bliskość była spontaniczna, dali się ponieść zdarzeniom, emocjom, uczuciom. Patrzyła z troską na jego zaciśnięte usta, zmarszczone czoło, oczy bez wyrazu i nie miała pojęcia, od czego zacząć. A może nie wiedziała jak. A może nie miała odwagi. Gdyby ją kochał, mogłaby mu powiedzieć, że to właśnie w swoim uczuciu do niego poczuła się dotknięta i najbardziej zraniona. Wtedy by to zrozumiał. Jak jednak wyrazić swoje najgłębsze myśli, wrażenia i tęsknoty, głębokie niepokoje, nie ryzykując jeszcze raz braku wzajemności? Zwyczajnie: „przepraszam, pomyliłam się”, było zbyt proste, beznamienne, zdawkowe. Czas mijał. A oni oddalali się od siebie coraz bardziej.

Tego dnia Janusz wracał z wytwórni bardzo późno. Robili próbny rozruch i temperatura wosku w kanale ciągle była zbyt niska. Dość

długo trwało usuwanie usterki. Dochodziła dziewiąta, kiedy ustawił samochód na podjeździe. Nie zobaczył szarej toyoty. Zaniepokoił się. Elżbieta zwykle kładła Matyldę spać i nigdzie już nie wychodziła. Wpadł do kuchni i tam dopiero się zdenerwował.

Matylda, zamiast spać spokojnie w łóżku, siedziała na kolanach Zofii i szlochała rozpaczliwie. Poczul, jak serce podchodzi do gardła.

- Eliżka!? Co się stało Elżbiecie? - zapytał Zofię podniosłym głosem.

- Elżbiecie nic się nie stało. - Zofia była wyraźnie wyczerpana. - To Dino. Zawiozła go do weterynarza.

- Co ten durny kundel znowu zmalował?

- Przyjechał tu ten były mąż Elżbiety. Czegóż od niej chciał.

Nie wiem, o co poszło, bo nie wpuściła go do domu. W każdym razie musiał podnieść na nią rękę, bo Dino się rzucił.

- Dino się rzucił! - powtórzył za Zofią zupełnie machinalnie. Gdyby teraz dorwał Ryszarda, rozerwałby go na strzępy. Jak on śmiał zrobić coś Eliżce! A jeżeli rzeczywiście ją uderzył?

- Ta wieczna fajtłapa stała się bohaterem?

- On zawsze był dobry i mądry - wydusiła Matylda przez łzy. - I teraz brzydki pan zrobił mu krzywdę.

- I co się stało temu bohaterowi?

- Nie wiem. Ten człowiek rzucił go na beton, a potem kopnął. Pies miał pokrwawiony cały pysk. Ela go zaraz zabrała do samochodu, ale Matylda nie chce iść spać, bo obawia się, że Dino nie wróci.

- Matyldo, kochanie. - Janusz przykucnął koło dziecka. - Powinnaś iść spać.

- Nie pójdę bez Dina! - Dziecko podniosło opuchnięte oczy. - Nie pójdę! Nie pójdę!

Janusz z Zofią spojrzeli na siebie bezradnie. Oboje pomyśleli o tym samym: co będzie, jeśli psa nie da się uratować? Od Elżbiety nie ma żadnych wiadomości. Jak wytłumaczyć pięcioletniemu dziecku, że zwierzęta są śmiertelne? Poczul się zupełnie bezsilny. Co robić? Co powiedzieć? Zerwał się z podłogi i rzucił do dzwoniącego nagle telefonu. Ulżyło mu, kiedy usłyszał głos Elżbiety. Odpowiadał monosylabami, patrząc na chlipiące dziecko. Miał nieodpartą ochotę wybiec z domu i pojechać do niej, ale wiedział, że nie może tego

zrobić. Musiał zająć się małą, bo Zofia nie miała już sił. Z ulgą odłożył słuchawkę.

- Słuchaj, Matyldo!

- Dino, tatusiu?! - Ogromne oczy dziecka były ciemne jak mroczne niebo.

- Dino czuje się już dobrze. Pan doktor go opatrzył i dał mu zastrzyk. Musiał mu pozszywać skórę i Elżbieta przywiezie psa do domu, jak tylko Dino się obudzi. Powiedziała, żebyś się nie martwiła i poszła spać. Położymy go razem w twoim pokoju, dobrze?

- I nic mu nie będzie? Na pewno?

- Wiesz, że Elżbieta nie kłamie!

- Tak. Wiem.

- To pójdziesz do łóżeczka?

- Możesz mnie zabrać. - Wyciągnęła do niego rękę. Obrócił się jeszcze w progu i powiedział do Zofii:

- Ty też się połóż. Poczekam na nią. Tobie też potrzebny jest odpoczynek.

- Psu naprawdę nic nie będzie? - zapytała cicho, widząc, że Matylda zasypia na jego ramieniu.

- Ma pęknięte żebra, złamany ząb i brzydką ranę na pysku. Ale wyzdrowieje. Idź i prześpij się.

Matylda leciała mu przez ręce, więc tylko ją przebrał w piżamkę i otulił kołdrą. Zasnęła natychmiast, ściskając w objęciach Freda. Zszedł do salonu i nalał sobie kieliszek koniaku. Z niecierpliwością i niepokojem nasłuchiwał szumu silnika. Nie mógł się doczekać. Elżbieta nic nie wspomniała o Ryszardzie. A jeżeli ten bydlak ją uderzył? Czy na pewno nic jej się nie stało? Nareszcie. Światła samochodu przesunęły się po trawie i żwir zazgrzytał pod oponami. Natychmiast wybiegł przed dom. Szarpnął drzwiczki od strony pasażera, były bliżej.

- Eliżka, nic ci nie jest?

- Mnie nie. Zabierz psa. Jest strasznie ciężki.

- Poczekaj na mnie w salonie. Musimy porozmawiać. Wziął ostrożnie Dina, żeby nie urazić ściągniętych bandażem

zeber, i zaniósł na górę. Ułożył go na dywaniku przy łóżku Matyldy. Dziecko spało spokojnie. Pies też natychmiast zasnął, zastrzyk musiał działać nadal. Delikatnie zamknął drzwi, żeby ich nie obudzić. O jego nogi oparł się jakiś miękki kształt, to rudy kocur

wpakował się do pokoju. Kot powoli minął drzwi, podszedł do leżącego bezwładnie psa i zwinął się w kłębek między jego nogami. Janusz poczekał jeszcze chwilę, pies pogwizdywał przez nos, a kot mruczał cichutko.

Pokręcił głową w zdumieniu, Marek może by to zrozumiał, ale on sam chyba nigdy do końca nie pojmie zwierząt. Zresztą teraz miał coś ważniejszego do załatwienia, na dole czekała ona. Mówiła, że nic jej się nie stało. Czy na pewno? Zostawił uchylone drzwi i zbiegł po schodach. Wpadł do salonu. Na szczęście była tam. Siedziała na kanapie, z dłońmi na kolanach i pochyloną głową. A jeżeli jednak coś jej jest? Usiadł przy niej i przyciągnął ją do siebie. Wtulila się w niego, wpasowując policzek w zagłębienie nad obojczykiem. Nie widział jej twarzy.

Elizko!?! - Nie mógł opanować drżenia głosu. - Elizko, kochana, nic ci nie jest?

- Nie! - Przytulila się do niego mocniej. - Naprawdę nic.

- Nic ci nie zrobił? Nie uderzył cię? I czego właściwie chciał?

- Próbował mnie uderzyć, ale Dino skoczył na niego. I wtedy zniknął. Przyjechał pożyczyć pieniądze.

- Trzeba było mu dać.

- Nie miałam tyle. Poza tym nic mu nie jestem winna.

- Miałaś! Jesteś moją żoną, stać nas było, żeby mu zapłacić. Pieniądze nie są ważne, chodziło o ciebie.

- Janusz? O czym ty mówisz? - Elżbieta podniosła głowę i wpatrywała się w niego. Przycisnął ją mocniej do siebie, pochylił głowę i musnął ustami powieki dziewczyny.

- Kocham cię. I nie mogę znieść myśli, że ktoś chciał ci zrobić krzywdę. Nigdy więcej na to nie pozwolę. Wiem, że ty... że mnie nie... ale i tak będziesz dla mnie najważniejsza.

- Posłuchaj. - Czują ciepło jego ramion, pieszczotę warg i nagle wszystko stało się takie łatwe. - Kocham cię. I dlatego... ta cała awantura... myślałam, że ty mnie nigdy... byłam tak rozczarowana. Wydawało mi się, że skoro nie mogę mieć twojej miłości, to chociaż zaufanie i wiarę. Tak bardzo cię kochałam, że poczułam się oszukana.

- Od kiedy? - wyszeptał jej we włosy niecierpliwe pytanie wszystkich kochanków na świecie. - Od kiedy wiesz, że mnie kochasz?

- Nie jestem pewna. Kiedy cię zobaczyłam. Kiedy rzuciłeś szklanką o ścianę. Tego akurat nie wiem. Ale kiedy wróciłeś z Holandii i byliśmy ze sobą pierwszy raz, wtedy kochałam cię z całą pewnością. Inaczej chyba bym nie potrafiła. A ty?

- Czekałem na dworcu na kogoś podobnego do Ireny, mimo że niby wiedziałem o tobie wszystko. To cały czas we mnie tkwiło.

Ten strach. Przez dłuższą chwilę obserwowałem cię na peronie. I chyba wtedy wpadłem po uszy. Wywróciłaś mi do góry nogami cały logiczny plan. Wszystko zaplanowałem, ale nie mogłem sobie zaplanować ciebie.

- I jesteś pewien, że mnie kochasz?

- Jestem pewien. A ty? Czy wybaczysz mi wreszcie?

- Jeżeli mnie kochasz, to tamto już nie jest ważne. Czułam się zawiedziona, że nie mam twojej wzajemności.

- A teraz co? Co będzie dalej?

- Myślę, że najwyższy czas iść spać. - Spojrzała na niego, przymykając powieki. Znowu poczuł ten dreszcz, który tylko ona mogła wywołać. I to było więcej, dużo więcej niż zwykle pożądanie. Było w tym jeszcze coś, czułość, troskliwość, przenikająca go chęć ochraniać jej i zatrzymania przy sobie na zawsze. Dla pewności zapytał, biorąc ją na rękę:

- Idziemy do twojego pokoju?

- Nie. Do twojego. Tylko on nadaje się na małżeńską sypialnię. W moim łóżko jest za wąskie.

- Zatem to nasz pokój, nie mój.

Potem była noc, mrok i księżyc. I mało istotne, że niewiele czasu poświęcili na sen. Rano zeszli na śniadanie z wygładzonymi twarzami i uśmiechem w oczach. I odtąd miało tak być zawsze.

EPILOG

- Wujku! - Matylda przetoczyła się na przednie siedzenie i wyskoczyła z samochodu, zanim Janusz i Zofia zdążyli rozpiąć pasy. - Wujku, gdzie jest ta głupia Gośka?!

- A po co ci Małgosia, szkrabie? Nie możesz porozmawiać ze mną? - Marek uśmiechnął się od ucha do ucha, podnosząc Matyldę wysoko do góry.

- Może byś tak złożyła wujkowi życzenia imieninowe? - Janusz wysiadł z samochodu, ściskając w ręku płaską paczkę, opakowaną w kolorowy papier i obwiązaną wstążeczką. Zofia gramoliła się nieporadnie, ściskając w dłoni bukiet irysów.

- Ty mu złóż. Masz prezent od mamy Eli, to mu daj! - Matylda ani myślała zajmować się mało ważnymi sprawami dorosłych. - Muszę znaleźć Gośkę! Już ja jej pokażę! Niech sobie byle czego nie wyobraża.

- Wydaje mi się, złotko, że najpierw powiesz coś mnie, a potem postawię cię na ziemi. - Marek ciągle trzymał Matyldę wysoko nad głową. - Małgosia poczeka. No więc?

- Bo ona mi nie wierzyła! A ja mam tatusia, mamusię, braciszka i siostrzyczkę! I ciocię Zosię też! A ona na pewno nie ma cioci Zosi! - Matylda wierzyła w powietrzu nogami i po chwili, postawiona na ziemi, zniknęła w ogrodzie Lipskich. Marek odwrócił się do Janusza, który z szerokim i nieco ogłupiałym uśmiechem wciskał mu do ręki błyszczącą paczkę.

- Czy mi się wydaje, stary - Marek trzepnął go mocno w ramię - czy w ciągu ostatniego tygodnia rodzina ci się znacznie powiększyła? To w piątek dostałeś dokumenty adopcyjne tego czorta?

- Tak. Dokładnie szesnastego kwietnia. A dzisiaj rano Elżbieta urodziła bliźniaki. Wracam ze szpitala, wszyscy czują się doskonale. Tak bardzo się bała, ale tym razem nie było komplikacji.

- To miałeś dobry rok. Elżbieta i dwójka, a właściwie trójka dzieci. Rok temu byłeś o lata świetlne od takiej rodzinnej sielanki.

- Wystarczyło znaleźć Eliżkę. I jakoś się nagle ułożyło. Ona jest wszystkim, czego chciałem.

- Ona jest wszystkim, czego ci było trzeba, stary.

- Wiedziałeś o tym od początku?

- A ty niby nie? - Marek wzruszył ramionami.

- Może. Ale pewności nie miałem. I gdyby nie twoje uwagi i pokrętne komentarze, pewnie by się nam nie udało. Tyle ci zawdzięczam...

- Bzdura. W końcu dogadaliście się sami. I o to chodzi.

- Niech ci będzie. Rozpakuj ten prezent. Eli bardzo zależało, żebyś go dostał.

- Jesteś pewien? - Marek ważył paczkę w rękę. - A może nie chcesz wiedzieć, jakie prezenty daje mi twoja ukochana żona?

- Nie wygłupiaj się!

- No dobrze. - Marek zaczął powoli rozplątywać wstążeczkę, a potem rozwijać kolorowy papier. Spod opakowania ukazała się lśniąca okładka książki, a tytuł Janusz odczytał na głos.

- „Człowiek w świecie zwierząt”? - Popatrzył na Marka z ironią. - To chyba o tobie. Gdzie ona coś takiego znalazła?

- To nieistotne - stwierdził niedźwiedziowaty olbrzym. - Jak przeczytam, to ci opowiem. A teraz lepiej chodźmy do gości.

- Wiesz, że nie znoszę towarzyskich imprez. Bez Eliżki czuję się zagubiony.

- Ale Eliżki tutaj nie ma, za to twoja córka jest. I z tego co słyszę, właśnie wzięła się z Goską za łby.

- Chcesz powiedzieć, że coś jej grozi? Niemożliwe.

- Mówisz o Matyldzie?

- Nie. O nas wszystkich. Już nic złego nam się nie może przytrafić.